Nr. 34 (1441). Warszawa, 22 Sierpnia 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Udział a ofiara.

Dozoruję naprawę grobli. Obejrzę się. Znajomy—sąsiad chłop z Tomaszowa szkapką wiezie dębowy kloc. Zdumiałem, bo taki z 15 łokci jak świeca dąb, u nas i do tego na włościańskiej podwodzie — rzadkość!

— Pochwalony!—Na wieki wieków.

I rozgadaliśmy się...

— Ano, wiozę ci go do Garbowa z naszego lasu. Dałem go ci na nowy kościół. I przy tych słowach chłop kładzie wprost z dumą rękę na dębie, o którym jeszcze później nadmienił, jako o „najpirszym" z niedużej resztki gromadzkiego lasku.

Zaś z całej mojej z chłopem rozmowy okazało się, że nowy kościół w Garbowie, buduje się wprost rękami samej parafji, gdyż anszlagowej sumy, zbieranej przez 7 lat z parafji—zbieranej z trudem i niemal egzekucją—nie wystarcza.

To też nowy proboszcz, znając widać psychologję ofiary i skutki tejże, postawił kwestję tak: *Chcecie mieć nowy kościół, bierzcie i budujcie sami.* I wzięto się do budowy i do ofiar w naturze. Setki tysiące rąk włościańskich pracują około „swego kościoła", pomimo że ręce te i furmanki, przydałyby się bardzo do własnych gospodarskich robót.

Rezultatem jednak tego rodzaju udziału parafji w budowie kościoła będzie to, że:

1-o budowa kościoła posuwa się raźno i pewno da lepszy rezultat niż kosztorysowe kombinacye.

2-o kościół ten będzie nietylko dumą swej parafji, ale co najgłówniej — przedmiotem dalszej pieczołowitości miejscowego włościaństwa, a bodaj i pokoleń przyszłych.

Tak, tak. Bo to tylko bywa cenne naszej pamięci i drogie sercu, w co wkładamy cząstkę z siebie.

Siebie — w postaci dobrowolnej ofiary, wysiłku, drogiego czasu.

Siebie — w postaci ofiary osobistych zasobów, choćby te na pozór przedstawiały tylko „wdowie grosze".

Siebie — w postaci okiełznania wygórowanych pragnień i ambicji.

Siebie — poświęcając tu i to, co zbyt górnie często nazywamy *świętym obowiązkiem* a co najczęściej jest tylko osobistym interesem, zyskiem, jak każdy inny.

I to jest klucz do zrozumienia takich na pozór niezrozumiałych rzeczy, jak to, że:

Matki najgoręcej miłują te ze swych dzieci, których wydanie na świat okupiły największą męką, lub przy których spędzają tygodnie nocy bezsennych, którym oddają z wyschniętych piersi już z krwią ostatnie krople mleka.

I znów wiadomo, że dzieci prawdziwie zaczynają kochać rodziców od tej dopiero epoki swego życia, gdy świadomie zaczynają „pracować na starych", nieść im ofiarę z siebie.

I niema miłości pośród rodzeństwa tam, gdzie idą „porachunki", gdzie niema braci-opiekunów, sióstr-matek.

A w wspomnieniach! komuż droższą jest szkoła, czy tym, co ją przeszli po różach, czy tym, co o głodzie, ziąbie, nieraz męce?

Ręczę, że owe znane stalowe błyski wspomnień Szkoły Głównej, nie goszczą nigdy w oczach wychowańca szkoły Kronenberga.

Jedynie prosty człowiek, który nieraz nadludzkim wysiłkiem doszedł do własnego domostwa, chaty; który to każdą cegłę spajał potem, a przy szalówce zdzierał paznogcie, pokocha taką swoją siedzibę. Bankier bywa dumny, ze swego „nowego pałacu". I nie pokocha go on nigdy i nie będzie mu on nigdy drogim, bo w budowie jego pieniądz wziął tylko udział, gdy „człowiek" w chatę włożył siebie.

I nie chłopstwo z czarnoziemnych rosyjskich gubernji jest dumne ze swej ziemi, — dumę i umiłowanie mają Duńczycy dla swych męką pokoleń ongi wydartych morzu trzęsawisk, a dziś żyznych pól, pastwisk lub pięknie zalesionych wydm piaszczystych.

Tak jest na ziemi i morzu w stosunku człowieka do rzeczy, tak jest w głębiach naszego ducha w stosunku do nas samych.

Multatuli—więc „taki, który dużo cierpiał"—upewnia, że jedyna tylko droga prowadzi do nieba—przez Golgotę, a kto inną usiłuje się tam dostać—jest niecnym przemytnikiem. Czyż nie?

I znów tak samo: jedna jest tylko do realizacji szczerych naszych społecznych aspiracji — przez ofiarę z siebie, a kto sądzi, że uda mu się to zrealizować inaczej jest albo naiwny albo... dużo gorzej. I taki to przekona się sam prędko, że owa ongi „umiłowana ideja" z czasem obojętnieje a często nawet staje się mu wstrętną.

I życie, życie—krynica prawdy—stwierdza wszystko tamto. Oto stajemy oko w oko

z wielką kwestją słabnącego na potęgę udziału naszego społeczeństwa w zapoczątkowanym kulturalnym ruchu i to w całym kraju.

Stwierdzono cyframi, mówią fakty i to w przerażający sposób, że dzisiaj w oczach nikną całe instytucje, likwidują się stowarzyszenia i to nietylko nowo kreowane ale i dawniejsze (choćby takie straże ochotnicze na prowincji).

A wszędzie słabnie tętno krwi. Serca nie uderzeniem a szmerem zdradzają życie, a i te coraz cichsze, cichsze.

I jak do tego przyszło? Zdawałoby się, przeciwnie być powinno. Wszak *Uniwersytet boleści* to najwyższa szkoła życia społecznego. Wszakże to w ogniu wykuwa się stal?

Skądże dziś to wszystko?

Z tamtego!

Z tamtego, gdyż otworzywszy upusty serca, tamy intelektu, zakreśliwszy wolą aż tęczowe łuki, zakładając wzorowe instytucje, stowarzyszenia, zapoczątkowując świetne wykłady, pożyteczne wydawnictwa wzięliśmy w nich udział, ale nie złożyliśmy im ofiary z siebie, — owej ciągłości wysiłku, systematycznej pracy, mrówczego mozołu, — nie wyrzekliśmy się egoistycznych ambicji, — zresztą „szczytnych" osobistych aspiracji.

Zapisywaliśmy się nawet gorliwie na listę składek, ale uiszczając składkę, nie dawaliśmy już w niej siebie, a stosunek nasz przybierać zaczął charakter rzucania jałmużny. Zgłaszających się po składkę zaczęliśmy traktować jak żebraków. Ach tak! Wszak wiadomo, że nic tak nie oburza, jak gdy własne sumienie przemówi do nas przez cudze usta.

Chodziliśmy na zebrania, ale na tych figurowaliśmy jako liczba, — to też prędko zaczęliśmy traktować tę rzecz jako pańszczyznę. No, a w takich razach wiadome konsekwencje: pańszczyzna bez batu, to anioł bez skrzydeł.

Wykładnikiem sympatji naszej do instytucji był stosunek nasz osobisty do założycieli, prezesów, składu zarządu. I obracaliśmy się za chorągiewką.

Postanowiliśmy popierać prasę postępową, ale gdy artykuł nasz nie znalazł się i to natychmiast na froncie, a cóż dopiero gdy został nieprzyjęty — wypowiadaliśmy o wydawnictwie wcale niedwuznaczne, ubliżające opinje. A choć niby na 3-ch postępowców 2-ch pisze, to cały ciężar systematycznej pracy, zwłaszcza prowincjonalnej, spada na dwóch, trzech ludzi.

To samo z wykładami, odczytami; ponad to bierność „zainteresowanego" ogółu, owych współidejowców, dawała wprost skandaliczne ilustracje. Na odczyty, urządzane przez kulturalną instytucję i na rzecz tejże, nie zjawiał się ani jeden członek tej instytucji, ani jeden słuchacz ze swoich.

Wspaniale zapoczątkowaliśmy sprawę szkolną, doprawdy, bo „patrzyła na to Ojczyzna". Dziś? Nie płacimy — nawet zamożniejsi — wpisów i pozwalamy marnieć, żyć żebraniną szkole polskiej, czem demoralizujemy młodzież.

Wiece szkolne rozsadzały mury, a dziś na sesję pedagogiczną przy udziale rodziców zjawia się „parę matek i ani jeden ojciec".

Poszło to stąd, bo:

— Przyjdę na posiedzenie, jeżeli mi coś nie przeszkodzi — i zawsze „coś" przeszkadza.

— Proszę nie liczyć na mnie, bo jak obecnie, to mam cały czas zajęty". A w ten „cały" czas wchodzi i 2 godziny knajpki, cukierni, i *Kurjer Warszawski* od deski do deski, i zresztą masę niczego.

— Nie chodzę więcej na „te ich" sesje, bo...

Rezultat jak wyżej.

Ukochane ideje, wspólne cele (wszystko to teraz nie „nasze", lecz „ich") poszły do lamusa, a koturny i społeczne szatki, jako wypożyczone tylko, a nie spłacone ofiarą z siebie, zwróciliśmy do... magazynu.

I znów dobrze nam w starym szlafroku i przydeptanych pantoflach.

A czasem zdaje się nam, żeśmy rzeczywiście i to pięknie odegrali rolę pierwszorzędną. Przypominamy sobie przecież nasze publiczne występy, przemówienia, oklaski, ba! recenzje w pismach (chowamy je starannie). A naprawdę braliśmy udział w próbie kostjumowej, jedni odtwarzając rolę „jednego z ludu", a inni „wodzów przyszłości".

I sądziliśmy, że puścić w ruch społeczną instytucję to coś jak samochód, jak zegar ścienny. Pamiętajmy, że w samochód i zegar włożył ogrom biegłej, skrzętnej pracy mechanik, robotnik. Kocioł i sprężynę montowali och! z jakim wysiłkiem umysłu i rąk mocarze, bo twórcy.

— Nie mogę być jutro na wyborach, bo mam na pojutrze pilną terminową robotę, — a terminowa sprawa to 5 lub więcej rubli zarobku.

— Dobrze, zajadę, ale jeśli skończę do tej godziny przyjmować chorych, — a więc 3 rublówki.

A na to wszystko i inne słyszę już taki zarzut:

A taki Śliwiński w zakresie szkółek rolniczych? A Świętochowskiego Kultura? A Krzywicki, wykłady? A Osuchowski? A Dobrska? A Benni? A choćby na prowincji taki ten, taki ów? I usłyszę 12—15 nazwisk, od których mi już „uszy puchną". Tymczasem spytajcie w Danji, kto zakłada, popiera, prowadzi wielką inicjatywę związków rolniczych, spółek mleczarskich, szkół fachowych! Spytajcie się w Czechach, kto jest duszą Macierzy. Odpowiedzą wam tylko: „To się robi u nas." A no wszyscy po trochu". W Anglji cała Anglija bierze udział w wielkiej społecznej sprawie dobroczynności, — bo cały kraj opodatkował się dobrowolnie, to też ta rzecz stoi na wysokości zadania.

Tylko bajeczny Amfjon miał moc upajać kamienie swoim śpiewem, ale najzdolniejsza i najofiarniejsza jednostka nie jest w stanie ożywić, rozwijać, prowadzić na stałe społecznej instytucji przy biernym udziale, ale bez aktywnej ofiarności z siebie samego społeczeństwa.

Co kogo obchodzą dzisiaj te wszystkie Kultury, Światła, Uniwersytety, Bibljoteki, Koła... skoro oprócz udziału składką nic tam w nich niema naszego — owego siebie.

ANDRE GIDE.

IN MEMORIAM.

Pamięci Oskara Wilde'a.

Roku 1900 w grudniu dowiedziałem się z gazet o żałosnym zgonie Oskara Wilde'a. Przebywałem wówczas w Bisera i odległość nie dozwoliła mi, niestety, powiększyć szczupłego orszaku, który towarzyszył zwłokom na cmentarz; daremnie dręczyłem się myślą, że moja nieobecność zdawała się uszczuplać i tak już nieliczny szereg przyjaciół, którzy mu pozostali wierni — i... niechaj chociaż kartki poniższe... Chciałem zresztą napisać je bezpośrednio po śmierci Wilde'a — lecz nazwisko jego na dłuższy przeciąg czasu stało się pastwą dzienników... Teraz, kiedy ucichła natrętna wrzawa, podnoszona około imienia w tak smutny sposób wsławionego, kiedy tłum znużył się zachwytami, podziwem, wreszcie zaś złorzeczeniami — niechaj wolno będzie przyjacielowi wyrazić żal, który trwa wciąż, i jako wiązankę złożyć na opuszczonej mogile te kartki—dowód przywiązania, podziwu i pełnego szacunku współczucia.

Skoro kilku pisarzów i artystów spostrzegło, że gorszący proces, który roznamiętniał opinię angielską, zagraża Wilde'owi zdruzgotaniem życia, podjęli myśl ocalenia go w imię literatury i sztuki. Mieli nadzieję, że pochwały oddawane *pisarzowi* zjednają wyrozumiałość dla *człowieka*. Niestety — zaszła pomyłka, gdyż Wilde — trzeba to przyznać — nie jest wielkim pisarzem. Deska ratunkowa, którą mu rzucono, pogrążyła go jeszcze głębiej; dzieła jego nietylko że go nie podtrzymały, lecz zdawały się przeciwnie zanurzać z nim razem. Napróżno wyciągnęły się ku niemu nieliczne ramiona. Fala życia zamknęła się nad nim i skończyło się wszystko...

Trudno było wówczas marzyć o obronieniu Wilde'a w inny sposób; a jednak zamiast usiłować *ukryć* człowieka za jego dziełem—należało ukazać go w całej wspaniałości—tak jak ja postaram się to uczynić — rozświetlić jego dzieło *nim samym*. „W życie włożyłem cały swój genjusz — w swe dzieła—tylko talent", mówił o sobie Wilde. Nie był on wielkim pisarzem lecz wielkim artystą życia w najpełniejszym znaczeniu tego wyrazu. Na wzór filozofów greckich nie uwieczniał swej mądrości lecz przeżywał ją i wypowiadał, powierzając ją nieopatrznie wątłej pamięci ludzkiej—jakby zapisując na wodzie. Niechaj ci, co znali go bliżej, opowiedzą jego życiorys; jeden zaś z tych, którzy go najskwapliwiej słuchali, przytacza poprostu kilka wspomnień osobistych:

I.

Ci, którzy zetknęli się z Wildem dopiero w ostatnich chwilach jego życia, nie mogą sobie wyobrazić jak fenomenalnym był on istotnie nim z więzienia powrócił jako istota zesłabła i wynędzniała, którą opisuje między innymi Ernest Lajeunesse w najlepszym, a właściwie w jedynym znośnym artykule, jaki zdołano i ośmielono się napisać o wielkim skazańcu. Po raz pierwszy spotkałem Wilde'a w roku 91. Posiadał on wówczas to, co Thackerey nazywa „najcenniejszym darem wielkich ludzi"—t. j. powodzenie. Ruchy jego i spojrzenia były zwycięskie. Powodzenie jego było tak niezachwiane, że zdawało się wyprzedzać go wszędzie; on zaś kroczył jedynie w ślad za

Przestajemy nawet składki płacić. A tymczasem właśnie te warsztaty społecznej pracy — instytucje publiczne wszystkie razem wzięte, to właśnie kraj, to podłoże przyszłej kulturalnej Polski. Jeżeli więc w to podłoże nie zaczniemy znów składać ofiarności z siebie, to wszystkie nasze udziały pójdą do muzeum pamiątek z tak zw. „epoki wolnościowej”.

W średnich wiekach przy budowie większych mostów, żywcem w filar zamurowywano kobietę, bo wierzyli, że tylko taki most będzie „wieczyście pewny”. Tragiczne to wierzenie, ale jakże głęboki symbol kryje.

Ciała i duszy żywego człowieka wymagał nowy most. Wymagał nie tylko udziału majstrów, ale ofiary ludzkiej!

I żywych też ludzi wymaga „ten ład co nowe życie mieści” śpiewa strofka Daniłowskiego.

Sława Francji — garncarz Bernard Palissy, aby utrzymać ogień w piecu przy nadludzkich swoich tysiącznych, bezowocnych próbach, w ostatniej decydującej chwili, porąbał i rzucił w piec wszystkie swoje ubogie sprzęty, a nawet ostatnie rodzinne łóżko. I w arcydziele tej chwili, stopił się udział pracy rąk garncarza z ofiarą serca człowieka.

I znał głęboko duszę ludzką, ten papież czy teolog, który nakazał, aby ołtarz chrześcijański wznoszony był nie inaczej jak na mogile męczennika, a wreszcie aby choć krył relikwie.

Zaprawdę! Jeśli ma być ołtarz, niech będzie mu kamieniem węgielnym ongi krew, dzisiaj — pot i mozół ducha.

Gdy pewien Amerykanin zapytał Tołstoja: Pan musisz się czuć ogromnie szczęśliwym; wiesz, że imię i dzieła twoje przejdą w wieki.

— Nie panie, nie przejdą, bo zawzięty na mnie los nie pozwolił mi na ołtarzu mojej idei złożyć ofiary z siebie. I to jest moją tragedją.

I oto polskie społeczeństwo jako tako, ale ma możność zakładania fundamentów pod swoją nową świątynię.

Więc jeżeli naprawdę o tem zamyśla, jeśli chce być dumny z tej świątyni, jeśli chce ją pokochać, jeśli marzy dla niej przyszłość,— to niech postępuje, jak ci z Garbowa, Tomaszowic i Sieprawek... Na własnych szkapach zwoźmy ciężki kamień i gryzące wapno. Własną ręką ścinajmy „najpirsze” dęby.

A tym, którzy nam powiedzą, że czas bohaterstwa minął, że my ludzie nie bogi, odpowiem:

Bohaterstwa od was nie wymaga się. Bohaterstwo to przedewszystkiem pogarda śmierci.

Od was szanowni panowie i łaskawe panie, wymaga się jeno **pogardy waszej dzisiejszej gnuśności**.

Zaczęliśmy naszą rzecz kościołem i nim skończymy. Przy kopaniu fundamentów i plantowaniu placu pod budujący się kościół w Narwie zgłosili się żołnierze-katolicy miejscowego pułku i rzekli: „Jesteśmy wszyscy bardzo biedni, ale co robocizny to chętnie dostarczymy, bo byśmy się przecież wstydzili pójść do kościoła, gdybyśmy się niczem do jego wybudowania nie przyczynili”.

Ci powiedzieli!

Eugenjusz Sokołowski.

Kościół i Rzeczpospolita.

Sables d'Olonne (Wandea) 4 sierpnia.

Część duchowieństwa katolickiego we Francji doszła do właściwych wniosków po przez liczne i, ostatniemi czasy, decydujące klęski Watykanu w zatargu z radykalną Rzeczypospolitą. Do tych należy *abbé* Jehan de Bonnefoy, wybitny „modernista”, który w książce „*Les leçons de la défaite*” uzasadnia pożytek i potrzebę zupełnego rozdziału Państwa i Kościoła w myśl orzeczenia biblijnego: „*Królestwo moje nie jest z tego świata*”. Wiadomo, że księża postępowi, należący do t. zw. Ljońskiej szkoły, odmawiają kurji Rzymskiej prawa mieszania się do polityki wewnętrznej kraju. Jeśli modernizm katolicki, chwilowo obezwładniony i niemy, podejmie swoją misyę z należytą energją — wówczas, być może, wierny Kościołowi a nieliczny zastęp skupi się wokół tego nowego, doskonalszego ośrodka Wiary. Jedynie neo-katolicyzm antyklerykalny i oświecony ocalić może od ostatecznego rozbicia skołataną nawę Kościoła, dotychczas kierowaną przez nieprzejednanych i ślepych fanatyków w odmęt fatalnych wirów politycznych.

* * *

Ostatnie wybory — d. 6 i 20 maja 1906 r. — wykazały dowodnie, jak słabemi ilościowo są „okopy św. Trójcy”. Była to piorunująca klęska. Najzajadlejsi nawet ultramontanie stracili zwykły tupet i odtąd zwracają tęskne oczy do nieuniknionej jakoby już rewolucji społecznej, która spłoszy bezbożne mieszczaństwo i rzuci je znów w objęcia Kościoła, tak jak to miało miejsce w r. 1848-ym.

Tymczasem jednak ci jutrzejsi zbawcy obecnie są zdeklarowanymi wrogami kraju, który staje im się coraz bardziej obcy, niezrozumiały, daleki. Już przed 20-tu laty H. Taine stwierdził stały, niezmienny wzrost obojętności religijnej pośród ludu wiejskiego. Burżuazja miejscami zachowała jeszcze nałóg religijny, dzięki wychowaniu, snobizmowi, modzie. Według *abbé* Sifflet'a, setkami liczyć można gminy, gdzie *nikt* nie przychodzi do kościoła. G. de la Rivalière, pisząc w *Revue Bleue* o związkach wyznaniowych we Francji, wylicza kilka gmin, gdzie średnio po 3 osoby uczęszcza na mszę niedzielną. W pewnej miejscowości blizko Paryża 25 osób (na 30,000 mieszk.) obchodzi święta Wielkanocne. Takie przykłady mnożyć można dowolnie.

* * *

Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo rozmaite i bardzo liczne. Przedewszystkiem francuski duch narodowy, przejęty ideją demokratyczną, niechybnie wejść musiał w konflikt z Kościołem, który jest tej idei zaprzeczeniem. Zdaniem Faguet'a (E. Faguet „L'Anticlericalisme”) „nikt bardziej od Francuza nie jest obcym uczuciu religijnemu”. Wprawdzie naród francuski długo podlegał Kościołowi, ale tylko dlatego, że „nie miał samoświadomości”. Odrodzenie i Reformacja dały mu tę świadomość”. Rewolucja utrwaliła ją wraz z porządkiem demokratycznym.

---

nim. Książki jego zdumiewały i czarowały—sztuki teatralne poruszały cały Londyn. Był bogatym, był wielkim, był pięknym — pełnym szczęścia i zaszczytów. Porównywano go do jakiegoś azjatyckiego Bachusa, to znów do rzymskiego cezara lub do samego Apollina — i faktycznie Wilde promieniał.

Skoro przyjechał do Paryża, nazwisko jego biegło z ust do ust; powtarzano o nim kilka niedorzecznych anegdot: palił jakoby papierosy w złotych oprawach i przechadzał się po mieście ze słonecznikiem w ręce.

Posiadając umiejętność suggestjonowania tych, którzy stwarzają modną sławę, Wilde potrafił poprzez właściwą swą postać ukazać zabawne widmo, którym sprytnie manewrował.

Posłyszałem o nim u Mallarme'go: opowiadano, że rozmawia nadzwyczajnie i zapragnąłem go poznać, nie mając wszakże nadziei urzeczywistnienia mego pragnienia. Szczęśliwy przypadek, a właściwie przyjaciel, któremu się zwierzyłem, ułatwił mi to; — zaproszono Wilde'a na obiad — było nas czterech, lecz mówił on jedynie.

Wilde nie rozmawiał właściwie, lecz opowiadał. Podczas całego obiadu opowiadał prawie bez przestanku. Opowiadał spokojnie i zwolna i nawet głos miał prześliczny. Władał wspaniale językiem francuskim, lecz zdawał się chwilami szukać wyrazów, których chciał, aby oczekiwano niecierpliwie, nie posiadał żadnego właściwego akcentu, lub przynajmniej tyle tylko, wiele mu się podobało zachować, aby czasem nadawać niezwykły i nowy pozór niektórym wyrazom. Wymawiał np. z upodobaniem skepticyzm zamiast scepticyzm. Przypowieści jakie opowiadał bez końca tego wieczora, były dość bezładne i nie należały do najlepszych. Wilde nie był nas pewny i starał się nas wypróbować. Ze swej mądrości, czy też ze swego szaleństwa udzielał on słuchaczom tylko to, co według niego mogło przypaść im do gustu; każdemu starał się służyć według jego upodobania. Tym, którzy nic spodziewali się po nim niczego — nie dawał nic lub odrobinę lecciutkiej pianki, a ponieważ przedewszystkiem starał się ludzi bawić — wielu z tych, którym się zdawało, że znają Wilde'a dobrze— znali tylko Wilde'a bawidełko.

Po skończonym obiedzie, wyszliśmy. Dwaj nowi przyjaciele szli razem, mnie zaś Wilde wziął na bok i rzekł nagle: „pan słucha wzrokiem i dlatego to opowiem panu taką przypowieść: Kiedy zmarł narcyz, zmartwione kwiaty polne prosiły rzekę o kropelki wody na łzy — aby go mogły opłakiwać. Rzeka odpowiedziała: „Gdyby wszystkie krople, jakie posiadam, zamieniły się w łzy—nie starczyłoby mi ich jeszcze do opłakiwania Narcyza — kochałam go!” „Ach! tak — odparły kwiaty — jakże mogłabyś była go nie kochać — był tak piękny!”

„Czyż naprawdę był tak piękny?” zapytała rzeka. „A któż wie o tem lepiej od ciebie? przecież nad twymi wodami pochylał się co dzień, aby podziwiać swą urodę...” Wilde zamilkł na chwilę... „Jeżeli kochałam narcyza, to tylko dlatego, że kiedy się pochylał nademną — widziałam odbicie swych wód w jego oczach.

Wilde, dumny z siebie, wybuchnął szczególnym jakimś śmiechem i dorzucił:

„Oto jest prawdziwy „*crewiel*”.

Przybyliśmy właśnie przed drzwi jego mieszkania i rozstaliśmy się. Prosił mnie o ponowne zobaczenie się z nim. Tego roku i następnych lat widywałem go często i wszędzie.

Wobec innych, jak powiedziałem powyżej, Wilde przywdziewał jakąś maskę odświętną, aby wywoływać podziw, bawić a niekiedy doprowadzać do wściekłości. Nie

Areligijności nie trzeba zresztą mieszać z *antyklerykalizmem*; pod tym względem książka Faguet'a grzeszy niejasnością. Antyklerykałem może być (i bywa zazwyczaj) każdy światły obywatel, skądinąd usposobiony nawet religijnie, ale miłujący swoją ojczyznę, jej prawa i wolności, a wskutek tego oporny wszechwładzy duchowieństwa, kierowanego z Rzymu i posiadającego własne, kastowe interesa.

Takich obywateli jest we Francji więcej niż gdziekolwiek; nadto chętnie garną się oni do Masonerji, która ujmuje ten odruch niezależności w kadry działań rozważnych i metodycznych. Obóz klerykalny zwykł zresztą wszystko zwalać na Masonerję, której nieliczny ale zwarty zastęp wodzi jakoby na pasku rząd, parlament i społeczeństwo. Jest to gruba przesada. Dyrektywy Lóż są dlatego cenione i słuchane, że opinia publiczna słusznie upatruje w nich kwintessencyę postępu i demokracji, rozumną dbałość o rozwój kraju oraz przekładanie interesów Rzeczypospolitej nad wszelkie inne względy.

W szeregach bojującego kleru panuje duch wręcz przeciwny. Nadto zachodzi tam specyficzny *dobór naturalny*, który ściąga do tego obozu ludzi bardzo miernych, o ciasnych widnokręgach umysłowych i niezaprzeczonej oschłości uczuć.

Stronnictwo, w którem fanatyzm zastępuje zapał, dogmat — wiarę, a scholastyka — wiedzę, które nadto jest w kapitalnej sprzeczności ze wszystkiemi wymogami życia współczesnego — próżno zwala winę swych niepowodzeń na knowania tajemnicze „Wielkiego Wschodu"; przyczyny klęski kryją się w samem stronnictwie. Przeciętny uczeń szkoły średniej wykaże to z łatwością.

Istotnie — kto był systematycznym wrogiem wszelkich reform demokratycznych? kto wspierał, podniecał, inspirował reakcyę polityczną i społeczną? kto dybał zawsze i wszędzie na zgubę Rzeczypospolitej, nawet wówczas, kiedy na wyraźny rozkaz Leona XIII-go należało symulować taktykę „pojednania"?... Bojujący kościół we Francji, wraz ze sprzymierzoną z nim prawicą monarchiczną, dołożył, rzec można, wszelkich starań, aby rozwiać jakąkolwiek wątpliwość co do jego roli polityczno-społecznej. Będąc zawsze arjergardą ucisku, przeżytków, przywilejów i niesprawiedliwości — czyż może się dziwić, że upadek ducha religijnego szedł w tym kraju w parze z rozwojem instytucyi państwowych, z dorobkiem republikańskim, z realizacją haseł demokratycznych?...

* * *

Dzieje Francji — to nieustająca walka z władczemi zakusami Kościoła. Ten instynkt wyzwoleńczy był tak żywiołowy i tak potężny, że nawet podczas Białego Terroru pod rządami wszechwładnej Restauracji, kiedy zajadli rojaliści chcieli uczynić z kleru uprzywilejowaną kastę i oddać mu monopol oświaty — nawet wtedy rozległy się głosy protestu, zaś gallikanin Montlosier oświadczył wręcz w Izbie Panów: *„Pragnę, by naród nasz wrócił do Boga, ale zaprawdę odda się on raczej djabłu, niżby miał być potulnem narzędziem w rękach kleru!..."*

* * *

Istotnie, po każdym okresie rządów klerykalnych następował gwałtowny wzrost antyklerykalizmu. Kościół odnosił na tem polu nieliczne, dorywcze tryumfy, pod osłoną tyranji wojskowej i dzięki chwilowej przewadze żywiołów demagogji ulicznej, jak np. nacjonalizm albo bulanżyzm. W roku 1793-ym lud klękał jeszcze na ulicach, gdy niesiono Sakramenta; przyszła restauracja, a wraz z nią ucisk i szykany klerykalne — i oto lud stał się sceptycznym, a mieszczaństwo wertowało Voltaire'a i nuciło beranżerowskie piosenki. A. de Musset (*„La confession d'un enfant du siècle"*) maluje „rzeczy niesłychane", które działy się naówczas w liceach, gdzie młodzież drwiąca używała hostji do pieczętowania listów". Długo wzbierająca nienawiść do t. zw. *partji księżej* wybuchła wreszcie podczas rewolucyi lipcowej, kiedy zburzono Kościół *Saint Germain l'Auxerrois*, a osoby duchowne nie wychodziły na ulice z obawy obelg i obrażeń cielesnych. Ale już w r. 1848-ym lud niepamiętny i dobroduszny nakłaniał księży, by błogosławili sadzone przezeń „drzewa wolności..." Lecz zamach stanu 1852-go roku doprowadził do władzy wraz z Cesarstwem osławiony „sojusz zakrystji z kordegardą". Tego samego roku *lex Falloux* oddaje szkoły w ręce kleru. W ciągu lat 30 szkoła staje się kuźnią klerykalną, gdzie kowano opinię potulną i dogmatyczną. *Lex Falloux* — oświadczył to głośno Victor Hugo z mównicy parlamentarnej — był to polityczny konszacht spłoszonej burżuazji z Kościołem, który zobowiązał się omamić rozbudzoną czujność nędzarzy i sprowadzić lud do stanu pożądanej rezygnacji. Kiedy Cesarstwo gromem zwycięztw dalekich, głuszyło pomruk niezadowolenia, kler wdrażał pokorę w głowy, rozkołysane czerwonemi hasłami 48-go roku.

Skutek nie dał długo na siebie czekać: na ruinach Cesarstwa wybujał antyklerykalizm i od lat 35 tworzy niezdobytą warownię, o którą rozbijają się wściekłe szturmy reakcji...

* * *

Gdyby przewódcy Kościoła posiadali zmysł polityczny, gdyby zdolni byli wyzbyć się ślepego fanatyzmu na rzecz rozumnych kompromisów z Rzecząpospolitą, Kościół byłby dotychczas nieodzownym, nieocenionym, hojnie wynagradzanym pomocnikiem potężnego mieszczaństwa, filarem istniejącego ustroju. Niedarmo apelowali do Kościoła wszyscy wodzowie prawicy republikańskiej, poczynając od Thiers'a. Lecz nieprzejednany i zajadły fanatyzm kleru, bardziej niźli wszystkie wysiłki radykałów, przyczynił się do tego, że Francja współczesna jest państwem nawskroś wolnomyślnem. Znane orzeczenie Thiers'a: *„Rzeczpospolita będzie zachowawcza, albo przestanie istnieć"* zetknęło się niebawem z piorunującą formułą Gambety: *„Le cléricalisme voila l'ennemi!"* — i Gambeta zwyciężył. Ministerjum radykalne Jules'a Ferry obaliło 28-go marca 1882-go roku *lex Falloux* i zaprowadziło powszechne, obowiązkowe, świeckie nauczanie...

Odtąd kler toczy z podziemi zaciekłą wojnę z prawodawstwem republikańskiem, imając się wszelkich środków od fałszerstwa i przekupstwa począwszy, aż do „świętej wojny" i zbrojnego powstania. Sprawa Drejfusa—olbrzymi wstrząs, którego skutki odczuwa Francja dotychczas — skłoniła kler do podniesienia przyłbicy. Spisek wytoczył się z podziemi na ulice, rozkiełznał najniższe popędy gawiedzi, oszalałej w po-

---

słuchał nigdy i niewiele troszczył się o wszelką myśl, która nie była jego własną.

Skoro przestawał błyszczeć zupełnie odosobniony, usuwał się i zacierał i można go było odnaleźć dopiero zostawszy z nim sam na sam.

Wówczas rozpoczynał odrazu:

„Co pan robił od wczoraj?"

Ponieważ zaś życie moje płynęło wówczas bez wstrząśnień, przeto opowiadanie moje nie przedstawiało nic specyalnie zajmującego. Opisywałem jednak uległe drobne wydarzenia, śledząc jak czoło Wilde'a pochmurniało w miarę mego opowiadania.

„Czy to istotnie to, co pan robił?"

„Tak" odparłem.

„Czy pan mówi prawdę?"

„Najzupełniej".

„W takim razie, pocóż opowiadać takie rzeczy?"

„Przecież Pan sam widzi, że to wcale nie zajmujące".

„Niech pan dobrze zrozumie, że są dwa światy: ten który *istnieje* bez mówienia i nazywa się *światem rzeczywistym*, gdyż nie potrzeba zupełnie mówić o nim, aby widzieć, że istnieje. Drugi zaś to świat sztuki — o nim mówić musimy, gdyż inaczej nie istniałby zupełnie".

„W pewnej wsi żył człowiek, którego ogromnie lubiono, gdyż opowiadał dziwne rzeczy. Co rano wychodził z wioski, a kiedy powracał wieczorem, robotnicy wioskowi, zmęczeni dniem roboczym, zbierali się dokoła niego i mówili: „no, opowiadaj; co widziałeś dzisiaj?" A on opowiadał: „widziałem w lesie fauna, grającego na fujarce gromadce bożków leśnych". Opowiadaj dalej; coś jeszcze widział?" pytali ludzie. „Kiedy przyszedłem na wybrzeże morskie, ujrzałem na wierzchołkach fal trzy syreny, które rozczesywały złotym grzebieniem swe zielone włosy". A ludzie kochali go, gdyż opowiadał takie dziwy.

Pewnego poranku opuścił on wioskę tak samo jak innych poranków, a kiedy przybył na wybrzeże morskie, ujrzał na rąbkach fal trzy syreny, rozczesujące złocistemi grzebieniami zielone włosy. A kiedy szedł dalej, spostrzegł na skraju lasu fauna, grającego na fujarce tańczącym leśnym bożkom... Tego wieczora jednak, kiedy wrócił do swej wioski, i kiedy tak jak innych wieczorów ludzie zapytali go: „coś widział dzisiaj — no, opowiadaj" — odpowiedział: „niewidziałem nic".

Wilde zatrzymał się na chwilę, dopóki nie odbiło się we mnie wrażenie jego przypowieści — i ciągnął dalej: „Nienawidzę waszych ust — są one tak proste jak usta, które nigdy nie skłamały. Nauczę was kłamać, ażeby usta wasze stały się piękne i wygięte jak usta maski antycznej.

Wie pan co to jest dzieło sztuki, a co dzieło natury? Wie pan, na czem polega różnica? Przecież kwiat narcyza jest równie piękny jak dzieło sztuki i chyba nie *piękno* samo warunkuje różnicę? Wie pan co takiego? Oto dzieło sztuki jest zawsze *jedyne*. Przyroda, która nie stwarza nigdy nic trwałego, powtarza się ustawicznie, aby nic z tego, co stworzyła, nie zaginęło. Jest dużo kwiatów-narcyzów, to też każdy z nich może żyć tylko dzień jeden. I wiele razy przyroda stworzy nowe jakieś dzieło—momentalnie je powtarza. Potwór morski z jednego oceanu wie, że ma podobnego sobie potwora w drugim oceanie. Kiedy Bóg stwarza w historji takiego Nerona, Borgię lub Napoleona, stwarza tuż obok innych, podobnych, nieznanych wprawdzie, ale cóż to znaczy? Idzie wszak o to, aby udał się choć jeden. Bóg bowiem stwarza człowieka, a człowiek stwarza dzieło sztuki.

„Ach tak, wiem, wiem; pewnego dnia powstał na ziemi wielki niepokój, jakby przyroda miała wreszcie stworzyć jakieś dzieło jedyne, naprawdę jedyne i narodził się Chrystus. Tak—tak było istotnie, ale posłuchaj pan:

„Kiedy Józef z Arymatei schodził wieczorem z Góry Kalwarji, na której zmarł przed chwilą Chrystus — spostrzegł młodzieńca siedzącego na białym kamieniu i płaczącego. Józef zbliżył się do niego i rzekł: „Rozumiem, że boleść twoja jest tak wielka, boć zaiste człowiek ten był sprawiedliwym!"

Młodzieniec jednak odpowiedział: „o—ja nie dla tego płaczę.. Płaczę, ponieważ ja też czyniłem cudy, ja też powracałem wzrok ślepym, władzę paralitykom i wskrzeszałem zmarłych. I ja też sprawiłem, że uschło bezpłodne drzewo figowe — a woda zamieniła się w miód... A ludzie nie ukrzyżowali mnie jednak!"

(c. d. n.)

płochu, szczutej, podjudzanej usilnie — i przez sześć długich lat był władcą otumanionej opinji... Francja przeżywała wtedy okres zaćmienia moralnego, o którem dotychczas ludzie wspominają z pewnym rodzajem grozy. Wybujał nagle barbarzyński kult szabli i galonu, rozpętany nacjonalizm bratał się z fanatyzmem wyznaniowym i szalał codziennie na ulicach, terroryzując opinię, prasę, parlament...

Rzeczpospolita wytrzymała jednak ten szturm ostatni, przypuszczony z niepamiętną furją i ze swej strony odpowiedziała potężnym kontr-atakiem. Wokół zagrożonych szańców zwarła się umysłowa elita kraju, uformował się *blok lewicy*—dzieło Jerzego Clemenceau, Waldecka - Rousseau, Jana Jauresa i Emila Combes'a — a gdy opadła kurzawa, wzniecona tumultem i paniką, gdy minął czad bezmyślnych uniesień—zwycięstwo *bloku* było decydujące.

Wiadome są dalsze dzieje radykalnych gabinetów Waldecka-Rousseau, Combes'a i Rouvier'a. Tryumfujący radykalizm odebrał kongregacyom resztę przywilejów d. 1 lipca 1902 r. (prawo o stowarzyszeniach zakonnych) i wreszcie d. 9 grudnia 1905 r. wyrzucił kwestje wyznaniowe wogóle poza nawias państwowości francuskiej. Powszechne głosowanie w r. 1906 udzieliło *blokowi* zupełnej aprobaty całego niemal narodu. Tak tedy Drejfusjada, wzniecona przez kler w nadziei owładnięcia rządami kraju wśród ogólnego rozstroju—wywołała, przeciwnie, olbrzymi wzrost świadomości demokratycznej i przyspieszyła oddzielenie Kościoła od Państwa przynajmniej o ćwierć wieku.

Leon Gorecki.

W imię Pokoju.

Tegoroczny Międzynarodowy Kongres Pokoju różnił się znacznie od swych szesnastu poprzedników. Odbywał się w czasie, gdy doniosłe wypadki tureckie zmieniły zasadniczo międzynarodową sytuację polityczną; odbywał się w miejscu, gdzie szczególnie starano się znaczenie kongresu podkreślić i swą sympatję dlań zaznaczyć.

Obydwa powyższe warunki *zewnętrzne* wpłynęły niewątpliwie na treść *wewnętrzną*, na charakter i przebieg obrad kongresu londyńskiego; miały one tę stronę dodatnią, że oficyalnie ujawniły wysoce pokojowe dążenia jednego z wpływowych rządów i społeczeństw europejskich, miały jednak, z drugiej strony, swe „ale" poważne, poniekąd wynikające z poprzedniego. Oto „kierownikom" kongresu — pod wpływem wprost uprzedzającej postawy rządu angielskiego i ważności niezwykłego momentu zdało się, że tworzą jakiś czasowy „parlament międzynarodowy", że już przestali być skromną grupą szczerych przyjaciół pokoju, pozbawioną autorytetu u sfer decydujących i egzekutywy właściwej, — grupą, wskazującą jedynie idealne podstawy pokoju między*narodowego*: wolność, równość i braterstwo *wszystkich* ludów świata.

Zdało się również kierownikom tegorocznym, że, przestając być jedynie „utopijnymi" głosicielami *Stanów Zjednoczonych Świata* i stając się „praktycznymi politykami" *chwili obecnej* winni oni zastosować do tej nowej sytuacji kongresowej wielce dyplomatyczną taktykę: omijać kwestje drażliwe i zadawalniać się, przeważnie, jaknajogólniejszymi i jaknajmniej krępującymi formułami.

Był to błąd poważny, szczególnie — z naszego stanowiska.

Kongres nie stał się *jeszcze* odpowiedzialnym „parlamentem międzynarodowym", a *już* tracić począł swój zasadniczy wyraz ideowy, swój nastrój bezstronności, szczerości i odwagi w sądach i wnioskach. „Polityka praktyczna" i „rezerwa dyplomatyczna" — oto nastrój ogólny tygodnia pacyfistycznego w Londynie od pierwszej chwili, t. j. od przemówień powitalnych w „Métropole'u" (dn. 27 lipca) aż do pożegnalnej mowy prezesa klubu narodowo-liberalnego w wieczór zamknięcia kongresu.

Znane już są z pism codziennych szczegóły obrad, przyjęć i uroczystości kongresowych. Były śród nich momenty podniosłe, jak manifestacja młodzieży szkolnej w Queen's Hall i organizacji robotniczych na skwerze trafalgarskim, były momenty niewątpliwie poważnego znaczenia, jak znane oświadczenie króla Edwarda i przemówienia szeregu ministrów, członków parlamentu i wpływowych działaczy społecznych.

Były jednak również chwile wrażeń ujemnych, — w czasie obrad właściwych kongresu i w kwestji wniosków nas pośrednio dotyczących. Obrady owe ujawniły, niestety, że wielu wybitnych pacyfistów współczesnych nie rozumie i nie chce odczuć istoty *nowoczesnych* dążeń autonomicznych śród narodów, pozbawionych swej *historycznej* niezależności państwowej.

Gdy na kongresie (z inicjatywy „The subject races international Commitee") zjawiły się wnioski, dążące do międzynarodowego zabezpieczenia praw narodowości podbitych (specjalny trybunał „między*narodowy*" poza stałym trybunałem „między*państwowym*" w Hadze), ozwały się natychmiast głosy kierownicze, że są to sprawy „lokalne", wewnętrznie-państwowe, których właściwie, na „międzypaństwowych" kongresach pokoju poruszać nie należy. Przyjęto coprawda, wobec ostrych głosów krytyki, formuły-ogólniki o kulturalno-społecznej (w dziedzinie prasy, szkoły, stowarzyszeń, sądu i urzędu) samodzielności narodów państwowo podległych (nationalites sujettes), zasadniczy jednak wniosek o trybunale między*narodowym* — odesłano do kongresu przyszłorocznego (w Sztokholmie).

Ciekawego jeszcze materyału w danej kwestji dostarczyła dyskusja nie na plenarnych zebraniach, lecz w komisjach kongresu. Tutaj również kilku „polityków praktycznych" (zwłaszcza — delegatów niemieckich w komisjach: aktualności i prawa międzynarodowego) wyraziło znamienne zdanie, że kongresy pokoju mają, przedewszystkiem, na celu propagandę idei polubownego załatwiania sporów, instytucji prawno-rozjemczych między istniejącymi państwami, t. j. stałego międzypaństwowego „trybunału rozjemczego". Co do spraw wewnętrznych, „lokalnych", winna być uszanowana „autonomja" poszczególnych państw w Trybunale reprezentowanych. Obrady i uchwały międzynarodowych kongresów pokoju winny zatem ograniczyć się rozbiorem spraw i stosunków, które stanowić mogą przedmiot umów międzypaństwowych.

Mieszano niemal stale pojęcie „autonomji" i „niezależności państwowej", identyfikowano wciąż „naród" i „państwo" w stylu i duchu doktryn politycznych na rubieży dwu ubiegłych stuleci. Czyniono to czasem nieświadomie, czasem „dyplomatycznie" — umyślnie, by zagłuszyć niezbyt liczne, lecz energiczne głosy krytyki, dowodzące, że bez wolności *narodów* i *społeczeństw* o ustaleniu pokoju między*państwowego* mowy być nie może i że właśnie w interesie rozwoju, postępu i stopniowego przekształcania się w duchu federacyjnym istniejących organizacji państwowych—autonomiczny ustrój dzielnic odrębnych winien być zachowany.

Nie czas i miejsce w krótkiej notacie sprawozdawczej na rozbiór szczegółowy szeregu ważnych zagadnień, wyżej poruszonych. Jest on wielce potrzebny, nietylko ze względu na kongresy międzynarodowe i nietylko ze względu na mylne poglądy cudzoziemców na istotę nowoczesnych dążeń autonomicznych pewnych grup narodowych.

Pomimo wyżej wskazanych braków jest kongres tegoroczny, bądź co bądź, krokiem naprzód w stosunku do swych poprzedników. Daleko mu jeszcze do „parlamentu międzynarodowego", wyobrażającego jakąbądź siłę pozytywną, niemniej jednak słusznie podkreślano na kongresie fakt rozwoju znacznego od chwili, gdy przed laty ośmnastu garść wybitnych „ideologów", profesorów i działaczy społecznych — zapoczątkowała obecny ruch pacyfistyczny.

Czy i kiedy międzynarodowe kongresy pokoju staną się istotnie siłą faktyczną, trudno przesądzać obecnie. Jesteśmy w czasach ostatnich, niemal w chwilach ostatnich, świadkami tylu zmian i przekształceń mało prawdopodobnych, a jednak dokonanych, że może optymizm pacyfistów, okaże się kiedyś praktyczniejszym od trzeźwości obrońców pogotowi wojennych.

Na dziś jednak, w czasach nie „stałego", lecz „zbrojnego" pokoju są międzynarodowe kongresy pacyfistyczne tylko siewem przyszłości i wielką *siłą moralną*.

Strzeżenie czystości tej siły idealnej jest ich pierwszym podstawowym obowiązkiem.

E. St. R.

NA DOBIE.

Dwa protesty.

Okropna historja lat ostatnich zaczyna się ukazywać ludziom w prawdziwym świetle. Pod kruszącym młotem smutnej rzeczywistości stłukły się latarnie magiczne polskich Cagliostrów, Rinaldów Rinaldinich, czarnych i czerwonych Eminencji i innych oszustów, zostawiając po sobie szczypiące, zatrute powietrze. Ludzie budzą się i chwytają za głowy, pękające od katzenjammeru. Ból nie przejdzie odrazu; chłopczyki się zabawili, chłopczyki muszą za to odcierpieć! Na drogocenne ronda, dokąd z głowy wyemigrowały mózgi, pada świszczący bat z ołowianym języczkiem.

Okropne dzieje! Biało-czerwona chorągiew najpiękniejszej w świecie tradycyi, obrus w wodzie Styksowej wyprany, płachtę przenajświętszą we łzach, bólu i krwi bohaterskich czynów kapaną, rozdarto na dwa kolory, na dwie szmaty, które obie znalazły się w cuchnącym śmietniku. Podchodzą dziady kościarze i gałganiarki, aby wyszukiwać je i skrzętnie chować do torb. Stróż kamieniczny, swój żołd policyjny regularnie odbierający, przypatruje się im z pogardą, a kundel jego natarczywie muska przybyszom łydki.

Mam w ręce, na stole pisarskim, dwie książki, dwa protesty. Z wrzodów zaczyna się lać ropa. Ach! oby rozpękły się jaknajprędzej i oczyściły krew. Pierwszym z nich jest

Votum Separatum

panów Tadeusza Grużewskiego i Władysława Studnickiego, numer siódmy dwutygodnika. Jest to już nie filipika, zwada o zasady, o taktykę polityczną, ale wprost oskarżanie posłów tak zwanych polskich do Dumy w Petersburgu o kryminał, o „detronizację polityczną". Dawni towarzysze nazywają ich tutaj „towarzystwem eksploatacji patryjotyzmu". Grot główny oczywi-

ście zwrócony ku p. Dmowskiemu i jego przybocznym. Akcja ich piętnowana jako szkodliwsza niż dawna „ugoda", a pobudki ich i rozum jako coś, czego niepodobna nawet porównać ze szczerością przekonań Wł. Spasowicza lub logiką petersburskiego *Kraju*. Pan minister Słołypin, jak dotąd, niechce korzystać z korepetycji, jakich mu licznie udziela leader warszawski. I tak dalej... „Tu l'as voulu, Georges Dandin".

Nie wdaję się w roztrząsania polityczne, zwłaszcza tam, gdzie jak u nas niema do tego gruntu realnego, bo niema przedstawicielstwa parlamentarnego, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego ci „nasi" siedzą w Dumie. Chyba dlatego, że, według ordynacji wyborczej będąc zaledwie trzecią częścią posłów, nie posiadają ani głowy ani mleczu pacierzowego, lecz pozostały im tylko nogi i brzuch, którego ulubioną filozofją jest: „les absents ont toujours tort". Kto nie zasiądzie do stołu, ten nie dostanie obiadu. Mądra maksyma ani słowa, ale trzeba przyjść w charakterze zaproszonego gościa, inaczej fagasi zrzucą ze schodów i piękne zapachy, odczute przez nos, skończą się na iluzjach. Panów do Petersburga na serjo nie wzywano, — przez brak taktu, czucia, prześlicznie są udane po chińsku zaprosiny poselskie na obiad, aby gospodarze potraktowali was jako „bête noire". Dano wam dziesięć rubli codziennie, ale dla narodu ani kawałka chleba.

Rozumiem, że mór polityki bezpłodnej, eunuszej, pseudo-dyplomacyi „wyrobił" u nas ludzi, którzy raz upojeń rozgłosu niezasłużonego, smutnych pozorów władzy zaznawszy, już nie mają niczego innego do roboty, jak grząść dalej w politykomanji, ale cóż to obchodzi naród? Jeżeli się skarżycie, że nie mielibyście zajęcia, utrzymania. załóżcie spólnemi siłami wielkie polityczne illusion, kinematograf, wykładający historję świętą i waszego własnego narodu, o której wstępując do pałacu ks. Potemkina nie wiedzieliście nic, nie czuliście nic, którą potraktowaliście jak żaki! Będziemy do zakładu waszego chadzali i prowadzali młodzież... Ku przestrodze na przyszłość!

Lemiesz i szpada.

„O stań się, ty myśli polska, myśli rozjęczona, myśli próżniaczych smutków — stalowym puklerzem, w słońcu błyszczącym lemieszem, migotliwą, a niechybną szpadą". Są to słowa Stanisława Brzozowskiego, znakomitego literata, oskarżonego, przez opinję niemal skazanego — za szpiegostwo. Dwaj literaci ze Lwowa pp. Karol Irzykowski i Ostap Ortwin pod rzewnym mott'em wydali książeczkę, protest przeciwko infamji na Brzozowskiego.

Apologja Irzykowskiego jest w całości tylko literaturą. Tam, gdzie chodzi o zatratę w okropny sposób dziesiątków, może setek ludzi, jakie charakterystycznie książkowe są takie, naprzykład, pytania: Jeżeli B. jest niewinny, to jaką wartość posiada życie i działanie wśród świata, w którym tak chytra pomyłka jest możliwa? A jeżeli jest winnym, to w jaki sposób nim został i czym wina jego przekreśla jego dotychczasową działalność? Są to reflekaje Dostojewskiego, Gorkija i ich czarno i czerwono sceinnej progenitury w rodzaju indywiduum, płaczącego podczas rzezi Pragi nad nadzianą na pikę indyczkę. Jeżeli B. jest rzeczywiście tym, o co go posądzają, to należałoby właśnie człowiekowi, którego talent wyniósł tak wysoko, posłać najmocniejszy stryczek, jaki ma się do rozporządzenia, aby sam się z sobą załatwił.

P. Ostap Ortwin broni kolegi rzeczowo. Sąd nie był jawny, oczny. Brzozowski protestuje, chce stanąć wobec oskarżycieli, chce się bronić. Do tego prawo ma. Odmówić mu byłoby nikczemnością. Może żądać tego tym głośniej, im sam jest głośniejszy, w literaturze wybitniejszy. Niechaj raz wydadzą nań wyrok ludzie bezpartyjni, niestronni, jawni. Albo niewinność, albo dorada owego stryczka.

Nie mogą tu pomóc żadne sofistykacje, kompromisy, przeciętności, hometyzmy. W czasach, gdy szerokie społeczeństwo nosi w duszach ideały w rodzaju Sherlocka-Holmesa, właśnie szpada poetów winna być *migotliwa a niechybna*, mówiąc słowami protestu. Powoływanie się na tą „Schadenfreude", z jaką różna hołota, ostrym piórem Brzowskiego kiereszowana, rzuca się nań, nie wpływa zgoła na istotę sprawy. Od wieków wieków świat jest taki sam. Słowiki śpiewają rzadko — tylko w maju, żaby już częściej, a kanalja ludzka zawsze, bez niedzieli, bezustannie.

Ignacy Grabowski.

Wywczasy polityczne.

Wypadki na Wschodzie, zjazd słowiański, jakby odżegnywanie się sfer rządzących od polityki związkowców obudziło nadzieję, podniosło ducha i wiarę w możliwość dobrych rezultatów z prac nadchodzącej sesji Dumy. To było w ubiegłym tygodniu. A dziś po 7 dniach panorama polityczna się zmieniła.

Zaczynają pomału nadchodzić głuche wieści, że reformy zasadnicze prawdopodobnie nie będą jeszcze przedmiotem prawodawczej działalności na nadchodzącej sesji, że rząd wniesione już odnośne projekty do praw wycofa, jak to już nieraz się praktykowało.

Pogłoski te znajdują swe dostateczne objaśnienie w stosunku władz kościelnych do ministerjalnych projektów, do praw „wolności sumienia" w sferze wyznań religijnych i odpowiednich projektowanych zmian w artykułach kodeksu karnego.

Po zjeździe misjonarskim, który właściwie nie dał żadnych rezultatów pozytywnych, a moralną powagę i tak nie wielką jeszcze obniżył, Synod zwrócił baczną uwagę na mające się rozpatrywać projekty ministerjalne, i uważając, że są zgodne z manifestem tolerancyjnym, a więc szkodliwe, stara się o ich wycofanie. Nie ma najmniejszych danych na to, by takie wycofanie projektu dla „głębszego opracowania" nie miało się udać. A jeżeli ministerjum go wycofa, to cała sprawa pójdzie w odwłokę, bo październikowcy nie zdobędą się nigdy na podnoszenie tego rodzaju spraw.

Jeszcze dzieli nas trochę czasu od rozpoczęcia jesiennej sesji i już pojawiły się pierwsze zwiastuny, że stan obecny potrwa dłużej niż można przypuszczać. Ubiegnie jeszcze tydzień, a pojawią się prawdopodobnie nowe oznaki, że związkowcy pracują i nie bez zupełnego skutku.

F. H.

LITERATURA I SZTUKA.

Kilka uwag o powieści z powodu „Jaskółki" Gustawa Daniłowskiego.

(Dokończenie)

II.

„Płynność" akcji wynika już z samej osnowy powieści. „Jaskółka" odtwarza ten okres, który jeszcze nie jest poza nami i chociaż jak roztopiony spiż, już wypełnił formę, lecz jeszcze nie zastygł w odlew nieskruszalny.

Tętno powieści powinno być zgodne z tętnem życia, stawiać wartości nie idealne, lecz rzeczywiste. „Dlatego zgrzytliwie lecz realnie nam się ukażą kobiety pół-wyzwolone, płochliwa Jaskółka, odzywającym się instynktem życia złamana, Halszka, nie śmiejąca swego prawa do szczęścia zaśniedziałym sąsiadom rzucić w oczy i kryjąca się zagranicę. Dlatego tyle miejsca zajmie ex-rewolucjonista z czasów studenckich, a obecnie filister Orski, któremu „bujnego temperamentu" i „fantazji stepowej" starczyło tylko na ambitne przewodzenie w kółkach młodzieży i gonitwy na rasowym koniu za ładną dziewczyną. Bo czyż istotnie taki filister jeszcze dziś nie najszerzej się w życiu rozpiera, zamulając je indyferentyzmem i tolerancją „bon viveur'a", bowiem—stół karciany wszystkie zasady pojedna! Dlatego Kuka vel Żołop może na obywatelskim balu wykonywać swe niezrównane piruety, gdy Rudny wije się na torturze żandarmskiej, gdy Linowski związuje porwane nici organizacji, gdy posępnego anarchistę Dulkę „rodak" odstawia do granicy...

Atoli żaden z typów, żaden z epizodów nie jest dostatecznie podkreślony, nie uzyskuje dominującego tonu. Linje są dziwnie zamazane, kontury tylko naszkicowane. I niewiadomo, kto nam wypowiada swe stanowcze zdanie autora o życiu? Czy nikt, czy wszyscy razem? Zdaje się nam prawdą bolesne załamanie Jaskółki, która życie poświęca idei, a przed śmiercią ze strasznym żalem czuje, że „sztandar ten, do którego drzewca była przytroczona tak długo, jest raczej symbolem pogromów, nie chwały, że świetność gwiazdy, która zachwyciła jej oczy, to tylko fosforyczne światło przeklętego upiora, który łaskocze na śmierć baśniami odrodzenia, odurza legendami o życiu, a pije z swych ofiar krew prawdziwą życia, które jest jedno, jedyne i niepowrotne". Lecz oto wynurza się przed nami silna, choć bezkrwiście naszkicowana postać Linowskiego. Zdaje się nam prawdą Kwaszewskiego tkliwe o świecie dumanie— a tu energiczne klnie Dulka, który za swą rozdeptaną dolę czuje już tylko szał niszczycielski, cynizm bez granic i bunt jednostki przeciw zwartej większości. Zdaje się nam prawdą Halszki młoda odwaga—a tu z cieniów starego dworu wynurza się sędziwa Orwidowa ze swym kryształowym snem o spotkaniu niebiańskim z kochankiem—powstańcem.

Żadna z postaci nie skupia dokoła siebie wszystkich nici powieści, nie da się nazwać „bohaterem". Sprzeciwia się to dawnej technice powieściowej, kiedy to „główna osoba" była kitem akcji, inne zaś—akcesorjami, pozwalającymi uwypuklić lepiej charakter bohatera, lub dającymi podstawę do jej działań.

Kiedy punkt ciężkości spoczywa w życiu jednostkowem, zadaniem powieści jest umiejętne przeprowadzenie charakteru (oczywista „typowego") przez sieć faktów i akcję ludzi. Tylko owa jednostka wybitna i typowa, przez powiązanie ze sobą osób i losów drugorzędnych postaci, staje się słupem orjentacyjnym, spoidłem powieści, bez którego pozostałaby ona luźną gmatwaniną.

Ten szablon o tyle się wżarł w umysły autorskie, że nawet tam, gdzie się maluje ruch zbiorowy, nie mogą się obejść bez indywidualnego bohatera z indywidualnym bólikiem, indywidualną siłą i romansikiem (wspomnijmy choćby niezapomnianą „Rewolucyę" Tetmajera).

W powieści Daniłowskiego niema bohatera—lecz jest upostaciowana idea. W żadnym człowieku idea nie objawia się całkowicie, we wszystkich swych wzlotach i załamaniach. Więc ukazuje ją we wszystkich potwierdzeniach i zaprzeczeniach, w apoteozach i antytezach — wielokrotnie je-

dną. Z oddzielnych epizodów składa się obraz jej bolesnego wcielania się w życie. Ze smutnego cienia przeszłości z „zapadłych mogił serca" pana Marka i starej Orwidowej, wyłania się nowa i bojująca w jaskółczych; zwiastunnych postaciach Linowskiego, Dulki, Halszki... (Prześliczne zestawienie dwóch pokoleń należy do najlepszych ustępów powieści).

III.

Oto na zgromadzeniu studenckim, grono studentów, dysputujących gorąco. A w dal od tego wieczoru, przeciągają się linje rozwojowe. Najciężej przez życie wypróbowany, Dulka staje się anarchistą i, już jako robotnik gdzieś nad zatoką Genueńską, spotyka łagodnego Kwasowskiego, który stał się „kulturnikiem", Linowski zawsze silny zawsze na posterunku, urasta na niezmordowanego, pozytywnego partyjnika, a Rudny o subtelnym profilu zużywa cięłość polemiczną na fechtunek słowny podczas śledztw żandarmskich.

A wśród tych pomazańców idei używa sobie w najlepsze „pomazaniec instynktu życia" — Orski. On i Halszka wcielają w sobie żywiołową potęgę szczęścia i rozkoszy, śmiałe potwierdzenie praw ciała i praw radości. Orski przypomina Rafała Olbromskiego z „Popiołów", nieświadomym oportunizmem, hedonizmem bez granic, brak mu tylko przy bujnym temperamencie bohaterskiej żyłki Rafała. Podobne indywidualności, wobec idei nijakie, są jednak w swej żądzy wyżycia się, w niesłychanym napięciu woli, ku rozkoszy — piękne i silne. Szczęście Orskiego i Halszki unaocznia to wszystko, czego się wyrzekli lub pozbawieni byli Linowski, Rudny, Dulka...

Halszka nie jest nowym typem kobiecym. Nawet jej miłość wbrew obyczajom, jej małżeństwo nieślubne z Orskim jest aktem czysto zewnętrznym i połowicznym, bo nietylko nie chce ponieść skutków swego czynu, tam gdzie one ją mogą dosięgnąć, lecz nawet w głębi jej duszy pozostaje nazawsze chwilowy, utajony żal, iż ona tak właśnie żyć musi.... Nie dorosła do życia w absolutnej wolności po za formą, małżeństwo pozaobyczajowe uważa za ofiarę, za wysiłek niesłychanej odwagi, a nie za swą konieczność wewnętrzną. Jej bujna natura półświadomie pragnie czynów potężnych, wielbi poświęcenie, klęka przed pięknem. Lecz nawet rzut bohaterski śmierci na barykadach zostaje osłabiony przez tę okoliczność, że Orski już przestał być mężem jej duszy. Kobieta „wiecznie kobieca", z nadmiernym liryzmem, ssącym sok duszy, nim się w czyn wylać zdoła, a egzaltacją zdolną do klękania, lecz nie do gromkich rozkazów — ginie bez świadomości, porwana litością nad ranami, nie wiedząc, po co były zadane, jak roślina, która pnie się ku słońcu, nie wiedząc, że to słońce. Tak, niestety, taką jest dotąd nasza kobieta. Budzi się w niej bunt, gdy wzrok ślizgający się po urodziwej postaci przeoczy w niej drobnostkę — duszę, lecz naprawdę, czyż to już całkowity człowiek — burzyciel i twórca? Jak dotąd w Polsce, jest tylko kobieta-erotomanka i kobieta-kwoka, i jeżeli żadna z wybitnych powieści innej kobiecej postaci nie dała, to tylko dlatego, że tej garstki innych nie sposób dojrzeć z artystycznej perspektywy.

Wprost rażąco po „literacku" odtworzona została walka na barykadzie, wśród której ginie Halszka i Dulka. Czyż kiedykolwiek w obliczu śmierci, gdy lud walczy o swe prawa, zabrzmiała deklamacja do pięknej a wytwornej kobiety? Ktokolwiek miał możność się zbliżyć choćby do wiru walki wie, jak całkowicie wtedy pęta duszę ideja, wymiatając z niej wszelkie osobiste podniety, spiętrzając wolę w artyzm jedyny: tytanicznego rzutu walki. Znanym jest zanik erotyzmu u ludzi walki. Lecz widocznie w niektórych duszach uczucia zbiorowe, jako zbyt nowe, nie spotęgowały się jeszcze do poziomu artyzmu, podobnie jak kolej żelazna raziła ongi brzydotą, a z czasem dopiero wcielono ją do sztuki i pięknie opisano — ba! nawet wierszem. Trzeba więc te zbiorowe chwile nadsztukować znanymi efektami indywidualistycznymi, małym fermencikiem erotyki i estetyki dla zaspokojenia inteligienckiego smaczku!

Od świątecznej, choć kończącej zgrzytem pary Orskiego z Halszką, odbija para głodnych i smutnych — Jaskółka i Baszin. Tym życie nic nie dało. Istnienie Baszina wypaliło się dla idei, strawiło w wysiłkach nieustannych, zgorzkniało w osobistych zawodach. Nie nasyciła ideja — oplotło się to istnienie serdecznemi korzeniami dokoła płochliwej Jaskółki — a gdy go odepchnęła — gruchnął strzał w łysą, pożółkłą czaszkę. Jaskółka długo walczy, schnie w pracy, żarliwa zaprzanka krain słonecznych. A w końcu ją zwycięża odepchnięte dla życia walki — życie szczęścia.

W całej powieści przeciwstawia się życie osobiste — życiu dla idei. Jakoś niezgodnie z nastrojem wielu ustępów wypada porażka Jaskółki.

W rezultacie Orski używa dóbr ziemskich w zdrowiu i pomyślności, zaparłszy się „mrzonek" młodości, Jaskółka łamie się, zaparłszy się szczęścia osobistego, a na przeciwwagę tego wywyższenia osobistego życia mamy tylko schematycznego Linowskiego, który co się odezwie — to wygłosi punkt programu paryskiego, lub Kwaszewskiego, który jest tylko „uwagą na marginesie". Co prawda, w jednem miejscu się mówi:

„Kucie kształtów współżycia według wzoru, który duszy się wyśnił, jest twórczym trudem. Czy on wam się w istocie już śni? Czy zastępuje wam, jak słodkie widzenie drogę na jawie? Czy gotowi jesteście oddać wszystko, a raczej, czy to uważacie za *jedynie godne i dla was możliwe wcielenie wewnętrznych potęg ducha*, najdoskonalsze rozwinięcie tkwiących zdolności? Czy już zyskaliście pewność, że to jest właśnie wasz żywioł, do którego rwie się serce, jak drżące męstwem nieposkromione serce rycerza do świstu strzał?"

Lecz tak się mówi teoretycznie. W istocie zaś ten „twórczy trud" przedstawiony jako ciężka ofiara, a „wcielanie wewnętrznych potęg ducha", znalezienie najdoskonalszego wyrazu dla swego „ja", życie w idei staje się „sztandarem pogromów". Postać Linowskiego jest tylko formułką społeczną. Gdyby nam ją pokazano z indywidualnym zabarwieniem, z życiem osobistym, które niewątpliwie nawet taki społecznik posiada, możeby ona zrównoważyła tych odstępców i wątlaków, których Danilowski w imię „instynktu życia" artystycznie rozgrzesza.

Lecz prawda; wszak autor nie kreśli linji idealnych. Tętno jego powieści bije zgodnie z tętnem życia. A wszak ludzie mają jeszcze piersi tak wązkie, a ramiona do walki jeszcze nie rozkurczone. Jeszcześmy się nie wyczołgali z osobistych skorupek—nie! Jeszcześmy sprawy ludzkiej naszą osobistą sprawą nie uczynili, a „kucie kształtu współżycia, który się wyśnił", jest jeszcze zawsze ofiarnym trudem, obowiązkiem i nakazem zzewnątrz, a nie koniecznością, siłą i szczęściem człowieka.

„Jaskółka" jest zabarwiona promieniami z ogniska uczuć instynktów, tych kanonów nałogu, poza którymi jest tylko — wykolejenie się. Bo czemuż praca społeczna nie jest życiem, a przystań w ramionach odmiennej płci jest życiem? W podobny sposób rozsegregować wartości życiowych nie można. Wartością jest wszystko, co się w duszę ludzką wciela i jest dźwignią jej czynów. Może kiedyś poprzednie pokolenie odczuwało pracę swą jako gorzki trud i poświęcenie, tkwiąc w większej swej części w tych formach, które chciało zniszczyć. My się już nie poświęcamy, my poprostu — jesteśmy sobą.

Wdzięczni jesteśmy Danilowskiemu za ten odlew życia, który dla nas utrwalił. Ale ukazania się w literaturze prawdziwego człowieka czynu, byśmy jego moc i piękno *w ciele* oglądać mogli, — dopiero czekamy.

Savitri.

Stanisław Wyspiański: **Pisma pośmiertne. I. Daniel.** Odbito w drukarni W. W. Anczyca. Nakładem rodziny. Kraków 1908. Skład w księgarni Gebethnera. Str. 46.

Ze spuścizny rękopiśmiennej pozostałej po wielkim, niezapomnianym odrodzicielu wielkiej poezji naszej, pierwszy większy utwór ukazał się dziś w druku. Dotychczas mieliśmy z dzieł pośmiertnych Wyspiańskiego, tylko drobne urywki i warjanty drukowane w ostatnich zeszytach krakowskiej *Krytyki*.

Wydany obecnie „Daniel" jest jednym z najwcześniejszych utworów zmarłego poety, napisany bowiem został w lipcu 1893 r. za czasów studjów Wyspiańskiego w Paryżu.

„Daniel" miał być w założeniu pierwotnym tekstem do opery Henryka Opieńskiego. Wyspiański, sam gorąco w muzyce rozmiłowany, marzył o stworzeniu przez Opieńskiego wielkiego dramatu muzycznego do tekstu swych słów i w kwestji tej z Opieńskim naradzał się i korespondował. Opieński pracował nad „Danielem", opera pozostała jednak w dziale zamierzeń niewykonanych. Po śmierci poety, Opieński ogłosił częściowo „Daniela" w dodatku do *Nowej Gazety*. Obecne wydanie jest pierwszym kompletnym ściśle wedle oryginału tekstu ułożonym.

Wilhelm Feldman zajął się troskliwie, i z należnym pamięci wielkiego poety pietyzmem zarówno wydaniem książki, jak i dopełnieniem jej niezbędnymi objaśnieniami. Wydanie „Daniela" pod względem zewnętrznym jest identyczne ze wszystkimi wydaniami dzieł Wyspiańskiego, jakie pojawiały się za jego życia.

Aczkolwiek „Daniel" nie jest właściwie dramatem, ani poematem dramatycznym, lecz tylko tekstem do opery, to jednak o tyle różni się od zwykłego libreta, o ile talent Wyspiańskiego różni się od uzdolnienia osób zazwyczaj teksty pod muzykę układających. Pomimo epizodycznego charakteru, starohebrajska legenda o uczcie Baltazara i ręce Jehowy piszącej wśród huku piorunów prorocze słowa zagłady, nabiera w interpretacyi Wyspiańskiego nie tylko właściwej temu poecie barwności i malowniczości, ale tchnie czarem wielkiej prawdziwej poezji, są w niej słowa-słońca i słowa-gromy. Postać wieszcza Daniela, głoszącego odrodzenie Izraela i upadek tyrana grzmią potężnie i wzniośle.

Z niecierpliwością oczekiwać będziemy dalszych tomów „pism pośmiertnych" Wyspiańskiego. Pamięci autora „Wyzwolenia" należy się jaknajstaranniejsze wydanie wszystkich jego rękopisów. W wydaniu obecnym „Daniela" widzimy z radością zapowiedź tego.

Jan Iwański.

Teatr Mały. O dwuch premjerach, które się odbyły i o trzeciej, bez której by się obyło.

Już raz Leo Belmont skonstatował „obraźliwy ukłon”, który p. Gawalewicz złożył Warszawie przez wystawienie jakiejś sensacyjnej tandety, teraz znów, po premjerze „Klubie Samobójców” p. W. R. pisał w *Kurjerze Warszawskim* o „krwawym policzku” wymierzonym tej biednej Warszawie...

Ale Warszawa na obraźliwy ukłon nie zwróciła uwagi, za krwawy policzek nie obraziła się, a p. Gawalewicz szykuje się do gwałtowniejszego jeszcze giestu i przez wystawienie sztuki osnutej na dziejach „słynnego włamywacza” gotuje jej chyba już kopnięcie nogą. A prasa przygląda się spokojnie tym widowiskom, zbiera wzorki i, jak gdyby teatr był salonem lub buduarem, bawi się w podkreślanie znaczenia pewnych ukłonów, półszeptów i giestów. Czy jednak nie możnaby od niej wymagać, by rozumiała, że, jeśli Warszawa jest taką, jaką jest, to właśnie przez te ukłony i policzki. Gdyby nie rzucono jej tych „krwawych ochłapów”, jak p. W. R. nazywa „Klub Samobójców”, nie ogłupiano jej Sherlockami, nie psuto jej smaku przez karmienie jej tandetą, byłaby ona napewno inna.

Nie widzę też żadnej racji, by się bawić w kurtuazję i, nie chcąc ganić, podsuwać p. Gawalewiczowi pięknie wystylizowane zamiary i rozumowania, dopatrywać się w jego czynach giestów a la Cyrano... Praca p. Gawalewicza jako kierownika teatru, samo istnienie Teatru Małego, zasługują na to, by je traktować poważnie i poważnie do nich przykładać miary i, jeśli p. Gawalewicz miał rzeczywiście zamiar policzkować tę biedną publiczność, od której tyle się wymaga i której tyle złego się robi, to wypadałoby nie cieszyć się z tych policzków i nie przyklaskiwać im, ale protestem odpowiedzieć na nie i zwrócić uwagę p. Gawalewicza na to, że pierwszym warunkiem wyleczenia alkoholika jest odebranie mu alkoholu i osadzenie go w domu zdrowia, a nie w szynku.

Wystawienie „Klubu Samobójców” było grzechem, a nie jakimś tam krwawym policzkiem i p. Gawalewicz popełnił grzech, a grzechy mszczą się zawsze.

Wiem, że artystyczne pragnienia naszej publiczności nie wybiegają dzisiaj poza marzenie o wybudowaniu jeszcze jednej operetki. Zdaję sobie sprawę z tego, że krytyk, czy kierownik teatru może się dziś czuć bezsilnym wobec takiego stanu rzeczy, że chwilami ręce mu opadają w poczuciu tej bezsilności, ale z rzeczywistością tą należy walczyć, a nie godzić się. Żadna praca społeczna nie obywa się bez ofiar i żadna praca nie jest społeczną, o ile nie posiada pewnego dalekiego, ogólnego celu, do którego dąży bez wszelkich uchybień i uchyleń. Bez zaprzeczenia niezmiernie trudnem jest u nas nasycenie tego Molocha, co się zwie repertuarem, ale zadaniu temu można jednak podołać bez uciekania się do tak zabójczych środków jak wystawianie „Klubu Samobójców” i historji Arsenjusza Lupina.

Po „Klubie Samobójców” wystawił p. Gawalewicz „Tunel” Feliksa Philippiego. Sztuka ta też nie jest arcydziełem, ale posiada przynajmniej pewne cechy, które odróżniają płód ludzkiego ducha od przedsiębiorstw wydawniczych rozmaitych Conan-Doyle'ów i, jeśli nawet nie daje pełnego artystycznego zadowolenia, to przynajmniej przez swój idejowy ośrodek kształci myśl i wprowadza widza w środowisko zagadnień, które nikomu nie mogą być obce.

Jak d-r Stockman we „Wrogu ludu”, inżynier Falkenried stoi tu na czele przedsiębiorstwa, w którego sukces nie wierzy; wierci on tunel, który według jego głębokiego przekonania nigdy nie będzie skończony, bo wcześniej czy później podskórne wody śpiące w łonie ziemi przerwać się muszą i zniosą dokonane już urządzenia, maszyny i pracujących przy nich ludzi. Ale konsorcjum kapitalistów, które włożyło już miljony w rozpoczętą pracę, za wszelką cenę chce kontynuować roboty; z drugiej zaś strony sami robotnicy, którym tunel dostarcza pracy i zarobku, nie rozumieją grożącego im niebezpieczeństwa i również słuchać nie chcą o zarzuceniu przedsiębiorstwa. Falkenried ostrzega ich, że na śmierć idą, że zginąć muszą, ale dobitniej niż słowa inżyniera przemawia do nich widmo głodowej śmierci, która ich czeka w razie utraty zarobku. I byliby poszli na śmierć, gdyby przypadek, a raczej wola autora faktem nie poparła przestróg niedoszłego wroga ludu, w chwili bowiem, gdy zatrzymani przez Falkenrieda robotnicy wahają się, co czynić, straszny huk oznajmia, że tunel jest stracony.

„Tunel” posiada zbyt dużo podobieństw z ibsenowskim „Wrogiem ludu”; Philippi zmienił, ale i zbanalizował tkwiące w samym temacie zagadnienie społeczne, chciał uniknąć ibsenowskiej paradoksalności, ale nie umiał jej zastąpić czemś innem: wplótł w swą sztukę romans Falkenrieda z Leną kelnerką z oberży, w której rozgrywa się większa część akcji, ale tematu tego nie rozwinął, zaznaczył zaledwie parę momentów, stworzył parę epizodów, które dały p. Jarszewskiej sposobność do uwydatnienia kilku miękkich tonów jej talentu — i dlatego utwór Philippiego nie jest wybitnem dziełem sztuki.

Arcydzieł jednak niewiele naliczylibyśmy w całej literaturze świata, teatry więc nawet o mniej rozległym repertuarze niż nasze muszą się kontentować utworami, których wartość artystyczna zrzadka tylko przekracza zwykłą miarę przeciętności, ale zato na brak tego rodzaju sztuk uskarżać się nie można.

To też nie rozumiem, dlaczego p. Gawalewicz robi tak przesadnie rozpaczliwe giesty i, mając do wyboru między przeciętną nawet sztuką a zwykłą tandetą, wybiera tę ostatnią. Są to zapewne eksperymenty, wątpię jednak, czy pod jakimkolwiek względem przyniosły one tak nadzwyczajne rezultaty, by p. Gawalewicz miał w dalszym ciągu ochotę wzbogacać ich serję przez wprowadzanie do repertuaru przeróbek z Sherlocka i Lupina. Na podobne eksperymenty szkoda sił i czasu p. Gawalewicza i jego drużyny artystycznej, szkoda firmy Teatru Małego, która nie powinna się sprzeniewierzać dewizie: noblesse oblige i szkoda naszej publiczności.

Stefan Gacki.

Przegląd nowszej literatury ekonomicznej.

(Dokończenie).

Że ruch robotniczy może być, pomimo skrajnego napozór programu i ścisłego związku z s.-d. organizacjami politycznymi, w istocie rzeczy bardzo umiarkowanym w swych wystąpieniach i nawskroś parlamentarnym, tego pouczają nas dzieje „Ruchu socjalno-demokratycznego i związkowego w Danji”, opowiedziane przez Emila Helmsa. Po nieco bezbarwnym wstępie, mającym dać charakterystykę tła politycznego i gospodarczego tego ruchu, zapoznaje nas Helms z poprzednikami duńskiego ruchu socjalistycznego: Fryderykiem Dreierem i Fryderykiem Krystynem Sibbernem. Ci mało znani tak w Danji, jak i poza jej granicami teoretycy socjalizmu znacznie mniej się przyczynili do rozpowszechnienia idei socjalistycznych od Ludwika Pio, niezmordowanego i ambitnego działacza duńskiego w stylu Lassalle'a. Jego to bowiem działalności, choć zakończonej smutnym kompromisem, (zniechęcony osłabieniem swego wpływu w partji wskutek wzmagających się tendencji decentralistycznych, opuścił Pio Danję—za pieniądze otrzymane od dyrektora policji w Kopenhadze pod pozorem subwencji dla inicjowanej przez Pia kolonji komunistycznej w Ameryce) zawdzięcza ideja socjalistyczna swe utrwalenie na gruncie duńskim. Ruch zawodowy duński powstał niemal wyłącznie *w łonie partji politycznej*. Założony w październiku 1871 r. „Międzynarodowy Związek Robotniczy dla Danji” dzielił się na sekcje zawodowe: stolarską, ciesielską, mularską, krawiecką i kowalską, które po rozwiązaniu Międzynarodówki duńskiej w r. 1873 przekształciły się w związki zawodowe. Od pierwszej jednak chwili umiano w Danji linię demarkacyjną między ruchem politycznym a zawodowym przeprowadzić.

Zaraz pierwszy kongres „s.-d. partji robotniczej” z r. 1876 zapewnił związkom zawodowym „zupełną niezależność” od partji; w r. 1878 nowoutworzony „związek s.-d.” (Social-Demokratisk Fortund) podkreśla tę samodzielność obydwu ruchów jeszcze wyraźniej; wreszcie na II kongresie s.-d. z r. 1888 związki zawodowe nie są już wcale reprezentowane. W ogólności charakteryzuje Helms duński ruch robotniczy jako rewizjonistyczny par excellence. Zdecydowany parlamentaryzm cechuje wszystkie wystąpienia robotników duńskich, którzy podporządkowali się formom obecnego ustroju społecznego, który — zaznaczmy to od siebie — jest w Danji od wielu innych bardziej wolnościowym; wyznawanie bowiem zasad socjalistycznych nawet przez urzędników państwowych nie jest tam ani faktycznie, ani nominalnie za przestępstwo poczytywane. Ruch związkowy koncentruje się w Danji tak wyłącznie koło sztandaru s.-d. jak może w żadnym innym kraju. Próby decentralizacji przedsiębrane przez Linderberga (1888 r.) w duchu demokratycznym oraz przez misję wewnętrzną (1889 r.) w duchu chrześcijańskim [1]) były albo całkiem chybione, albo cieszyły się poklaskiem minimalnym śród robotników. Śmiało więc może Helms mówić o jednym dla całej Danji ruchu robotniczym.

Najważniejszym zdarzeniem duńskiego ruchu związkowego, przez Helmsa nakreślonego, był lock-out, r. 1899, który miał znaczenie przełomowe dla robotników duńskich, a zasadnicze jako przykład i dla innych krajów. Około 40000 robotników, t. j. niemal połowa zorganizowanych a przeszło $^1/_5$ część wszystkich robotników duńskich straciło zajęcie na przeciąg czasu od 21—115 dni; około 3 miljonów koron wypłaciły związki ofiarom lock-outu i strajkującym. I „pomimo”, że podczas całej tej walki jednego tylko robotnika przywołano do policji, lecz i tego... w celu wręczenia mu medalu ratunkowego, ofiarność robotników pracujących, była godną najwyższego podziwu i uznania: od $^1/_{10}$ do [illegible] płac otrzymanych poświęcili robotnicy zatrudnieni na korzyść swych towarzyszy bezrobocznych. Jest to bardzo wymowny argument, przeciw wywodom rzeczników action directe, którzy widzą w parlamentaryzmie poważne niebezpieczeństwo, dla ducha solidarności i ofiarności śród robotników; tendencyjnym

[1]) Chrześcijański duński związek wspólny pracodawców i robotników (Kristelik dansk Faellesforbund for Arbejdsgiuere og Arbejdere) obrał sobie za motto słowa pisma świętego: „Pan będzie za was walczył, a wy będziecie cisi” (z Mojż. 14, w. 14).

bowiem fałszem jest twierdzenie, jakoby zasobne kasy związków, uporządkowane stosunki administracyjne, sumienność i punktualność w płaceniu składek i pełnieniu innych obowiązków w związkach, arystokratyzm w rodzaju niektórych trade-unionów angielskich wytwarzać z koniecznością musiały. Kto chce się o tem przekonać na przykładzie duńskiego ruchu robotniczego temu polecam pokrótce scharakteryzowaną tu książkę Helmsa.

Na zakończenie słów kilka o monografji Thorndike'a. Jak wiadomo, najbardziej paląca kwestję prawną w stosunku do związków zawodowych, jest unormowanie ich zdolności prawnej. Dość obfitą literaturę niemiecką [2]) w tej sprawie uzupełnia historyczna praca Thorndike'a bardzo szczęśliwie, gdyż jest wyczerpującym przedstawieniem wszystkich w tej mierze robionych usiłowań. Projekty Schulzego z Delitzsch, Hirscha i ostatni projekt rządowy Rady Rzeszy (obecne prawo o związkach zawodowych), obok wniosków Pachnickiego, Bargmana, Liebera i innych, znajdują tu szerokie uwzględnienie. Teoretyk prawa robotniczego zarówno jak i historyk związków zawodowych znajdą w tej pracy sporo materyału faktycznego, tem cenniejszego, że podanego w brzmieniu autentycznym. Ale jest i to tylko przyczynek do dziejów niemieckiego ruchu związkowego, których niemiecka literatura ekonomiczna jak dotąd nie wydała.

Dr. N. Pinkus.

Przegląd przeglądów.

Sociale Praxis (Nr. 42). W dziale poświęconym zbiorowym umowom pracy znajdujemy ciekawe dane o rozwoju *umów zbiorowych w przemyśle metalowym* w Niemczech i Austryi. W r. 1906 było w Niemczech umów zbiorowych 306, nieodnowiono 72, zawarto nowych w r. 1907—155, w końcu r. z. obowiązywało zatem 389, regulowały one warunki pracy 100,457 robotników w 11436 przedsiębiorstwach. Skutki tego wzrostu umów zbiorowych przedstawiają się następująco: ilość strejków zmniejszyła się z 365 na 345, zaś pokojowo załatwionych zatargów wzrosła z 590 na 723. W austrjackim przemyśle metalowym pierwszą umowę zbiorową zawarto w czerwcu 1903 r. właściwy rozwój datuje się jednak dopiero od 1905 r. W r. 1906 doszło do skutku 115 umów zbiorowych w 1907 r. zaś 169, ogółem było ich w tym czasie 421, obowiązywały one 110,932 robotników. W dziale hygieny społecznej omawiane jest sprawozdanie pruskiego wydziału lekarskiego przy ministerstwie oświaty tyczące stanu zdrowotnego ludności w 1906; godnymi uwagi są nader pomyślne rezultaty osiągnięte w walce z gruźlicą; w r. 1890 z 10000 żyjących umierało na gruźlicę 28, w r. 1096 tylko 17. Wyniki te przypisuje sprawozdanie w pierwszym rzędzie polepszeniu warunków mieszkaniowych klasy robotniczej. Najobfitsze żniwo zbiera gruźlica w tych okręgach, gdzie kwitnie przemysł domowy. W tymże numerze znajdziemy sprawozdanie z 2 *kongresu miast niemieckich*. Zjazd zajmował się polityką finansową samorządów miejskich, większość referentów broniła poglądu, iż podatki miejskie obciążać powinny przedewszystkiem właścicieli nieruchomości, których wartość stale wzrasta w skutek inwestycyj miejskich. Na porządku dziennym zjazdu była również sprawa miejskich szkół uzupełniających. Pochlebnem świadectwem rozwoju samorządu miejskiego w Niemczech była liczba uczestników zjazdu, reprezentowanych miano wicie było 166 miast t. j. niemal wszystkie, liczące ponad 25 tysięcy mieszkańców. Na pierwszym kongresie w 1903 r. utworzyły one wspólną organizację mająca na celu wzajemną pomoc przy spełnianiu społecznych zadań gmin miejskich.

Revue d'economie politique (Nr. 5). Na podstawie bogatego materjału statystycznego Ch. Picquenard, redaktor rządowego Bulletin de l'office du travail", zestawia *bilans finansowy strejków*. Zdaniem autora opinja publiczna w ocenie szkodliwości strejków dla przemysłu krajowego, idzie zbyt daleko, zazwyczaj to co kraj traci w jednej dziedzinie przemysłu, skutkiem wprowadzenia na swój rynek obcej produkcji, to zyskuje w innej wypełniając niedobór rynku sąsiedniego kraju powstały tamże skutkiem strejku. Dalej ujemny wpływ strejków na wytwórczość ogólnokrajową, nie może być tak znaczny, ponieważ normalnie ilość strejkujących w stosunku do ogółu zajętych w produkcji jest bardzo małą; w latach od 1897 do 1905 r we Francji strejkowało rocznie przeciętnie 188,498 robotników, wszystkich zaś robotników było 9,451,979; na 1000 dni roboczych przypadał 1 stracony skutkiem strejku. Rachunek osobistych strat i zysków strejkujących przedstawia się następująco: na każdego z uczestników 3,135 strejków (co do których istnieją ścisłe dane) w latach od 1897 do 1906 przypada przeciętnie 79 franków straty z powodu utraconych zarobków; zysk dzienny zrealizowany przez każdego z nich, na skutek osiągniętej podwyżki zarobków lub utrzymania ich na tymsamym poziomie wynosi o 327 fr., czyli strejkujący powinien pracować 243 dni na nowych warunkach, aby pokryć stratę owych 79 fr. Naturalnie wielu strejkujących nie pracuje tak długo u tego samego przedsiębiorcy, z ich zdobyczy korzystają inni, ogół więc pracujących poszkodowany nie jest. Na rachunku, tym niekorzystnie odbił się niefortunny ruch strejkowy rozpoczęty 1 maja 1906 r. Statystyka notuje lata pomyślne, jak np. 1904 i 1905 w których ilość dni pracy potrzebnych dla powetowania strat, wynosiła tylko 78 i 75 dni. Lecz na konto zysków strejkowych wpisać również należy korzyści, które osiągnięto w drodze pokojowych układów t. zw. pod wpływem groźby strejków. Statystyka francuska nie rozporządza w tym kierunku ścisłymi danymi, wyobrażenie jednak o rezultatach pokojowego ruchu cennikowego dają sprawozdania komisyi generalnej niemieckich socjalistycznych związków zawodowych. W r. 1906 osiągnięto mianowicie bez strejków podwyżkę zarobków na ogólną sumę 42 miljonów marek.

wh.

Z PRASY.

„Myśli bez marzeń" — w *Gońcu Wielkopolskim*, drukowane w całym szeregu wstępnych artykułów, możnaby raczej nazwać *Majaczeniami bezmyślnemi*, taki tam bezład, niejasność, tak pełno sprzeczności i tak imponująca nieznajomość rzeczy. Autor ich pan S. P. biorąc podnietę ze Zjazdu praskiego, sili się objąć wzrokiem całą obecną sytuację polityczną i wysnuć z niej wskazówki dla swego narodu. Pan Dmowski jest dla niego najświatlejszym politykiem naszym, egoizm narodowy" igłą magnesową, w żegludze po rozbujanych fluktach polityki.

Zjazdy słowiańskie nie budzą jego zachwytu bynajmniej, gdyż na wszelkie sympatje i braterstwa międzynarodowe *gwiżdże*, mówiąc po warszawsku, a obecność poznańskich „rzeczoznawców" w Pradze — zdaniem jego, musi się pomścić na społeczeństwie w formie wzmożonych represji. To mu nie przeszkadza urągać na Ukraińców, że na Zjazd nie przyjechali. Jakkolwiek nienawidzi Prusaków, wierzy niezłomnie w ich potęgę, której „zdegenerowana", Francya, osłabiona Rosya i Anglia bez wojska, żadną miarą rady nie dadzą—z drugiej strony wszakże bynajmniej klęski Niemiec nie pragnie, gdyż oprócz mnóstwa naszej młodzi, która zginąćby musiała „potonęłyby panceniki za naszą krwawicę kupione" (!) Widać, że propaganda pana Kościelskiego przyjęła się nawet w kole jego przeciwników — a przywiązanie do niemieckich pancerników sięga głębiej, niż myślano.

Pan S. P. wykazując — nie bez słuszności, że tylko naiwność nasza upatruje jakieś naturalne antagonizmy między Rosją i Prusami, gniewa się na prasę naszą, że za mało narzeka na Rosję. Usiłuje stąd dowieść, że tutaj rusyfikacja znacznie dalej się posunęła niż germanizacja w Poznańskiem, że się rusyfikujemy dobrowolnie.

„Wejdźmy w głąb naszego socjalizmu, „postępowości" warszawskiej, a zobaczymy, że to czysta barbarja, (komu tu świat gubić!) to zdołu, a w naszą szlachtę też już dużo pierwiastków istinno ruskich wsiąknęło".

Mimo swego irredentyzmu autor jest ślepym czcicielem kultury niemieckiej, — rosyjską, traktuje przez nogę.

„Kultura rosyjska, to kultura tamerlanowa, literatura rosyjska — literaturą niewolników lub chorych na doktrynę, liryzm, podobloczność i wstręt do ładu. Przeciwnie kultura niemiecka ma w sobie moc pierwiastków ożywczych („Bajrisch Bier und Leberwurst, Juheidi! Juheida!") i nie jestto kultura pruska. „Kultura niemiecka nie przedstawia dla nas tyl u groźb".

„Polaczkowie nasi zarażają się wstrętem moskiewskim do patryotyzmu, do porządku społecznego, do tradycji narodowych".

„W Królestwie co słychać? Może narzekania na Rosyę? Nie, lecz, że narodowość to wymysł „burżuazji", ujadania na religję, apetyty na cudze mienie, propagandę wolnej miłości" i t. d. „Polityka ugodowa wyrządza wielkie szkody narodowi" — pisze pan S. P. i zaraz potem tryumfuje:

„Mieliśmy w Rosji trzy ugody: szlachecką, inteligencką, robotniczą — w Prusach tylko marynarską".

Widzimy, że ta „marynarska" przeniknęła wszystkich; wiemy, że pan Turno wskrzesił jej tradycje, pan Dziembowski zaofiarował ją w komisji sejmowej w imieniu narodu, a tenże sam pan Dziembowski — gdy w ostatnich wyborach mandat jego upadł, znalazł gorliwego obrońcę, żałosną płaczkę jego niedoli w tymże samym *Gońcu Wielkopolskim*. Po co tu więc ten piasek w oczy rzucać? Wiemy, jak rozumieć jego przechwałkę gdy przeciwstawiając zaborowi pruskiemu „szarpane niezgodami" Królestwo mówi „my jesteśmy niemal jednomyślni". Tak niestety — jednomyślni.

Nie godząc się całkowicie na politykę pana Dmowskiego, nie czyni tego pan S. P. bynajmniej ze wstrętu do caratu.

Potępia neugodę „z punktu widzenia egoizmu narodowego, z przeświadczenia musu walki z moskiewszczyzną, jakakolwiek ona jest, kadecka czy chuligańska". Gardzi socjalistami, „którzyby chętnie ściskali dłoń towarzyszy Moskali, ale rząd im się niepodoba, bo eksproprjatorów wiesza". Państwowo-rosyjskie stanowisko Polaków w Dumie, zyskuje jego całkowite uznanie. I on twierdzi, że w przyrodzie nie ma skoków „a rewolucje, kataklizmy, to gwałt zadany naturalnemu biegowi rzeczy".

W jednem miejscu pisze: „Rosja musi się przeobrazić, musi wejść na drogę ludów cywilizowanych" — a kilka wierszy dalej: „Wiara w rosyjską postępowość jest iście pożałowania godną"—potępia łączenie się z rosyjskim ruchem liberalnym, „bo z tego nic dobrego nie przyjdzie". Nawet narod. dem. zawinili, gdy jeździli do Paryża

[2]) Por. bibljografję u Thorndike'a na str. VII — XII.

koordynować się z opozycjonistami, na narady konstytucjonalistów, na zjazdy ziemców. „W polityce liczyć można tylko na ludzi obdarzonych zmysłem państwowotwórczym, na zdolnych pracować życiowo, na jasno spoglądających na otaczające ich stosunki, a nie pod kątem jakichś urojonych idei".

„Ideja" jest w języku pana S. P. niemal wyzwiskiem, w myśl wskazań kultury niemieckiej: „Ideen hat jeder Esel". Następuje cała kanonada gromów przeciw postępowcom rosyjskim. „Moskale postępowi nie dorośli do postępowych rządów nawet ich nie są warci". „Postęp moskiewski nie odrodził państwa . . . . . Wie o tem Dmowski"... tu następuje długa cytata z prac tego „światłego polityka"—a zaraz później charakterystyka hr. Bobryńskiego, który „ma teorje bardzo podniosłe".

„Nie bez słuszności przyjąć możemy, że narodowe dobro rosyjskie wymaga poparcia sprawy polskiej"—czytamy ze zdziwieniem po tem wszystkiem—ale „obecna chwila, warunki realne, zabraniają nam użyczyć poparcia... jakiejkolwiek urzędowej lub półurzędowej Rosji".

Te długie cytaty miały na celu zobrazować manowce, po których się błąka myśl polityczna w Poznańskiem. Patryjotyzm zasadzający się na manifestacyjnej pogardzie obcych, a źle pokrywający służalczość i tchórzliwość „czcicieli potęgi", wstręt do wszelkiego postępu, do „zdegenerowanej Francji" i rozmarzonej „idejami" Rosji, kult niemieckiego ładu — to rysy bardzo znamienne. Odnajdujemy je w innych organach miejscowej prasy. *Kuryer Poznański* pisze z racji „braterstwa" słowiańskiego: „A jeśli kiedy do robienia ugody z Rosją przyjdzie, zawierać ją będziemy nie z ludźmi „dobrej woli", ale z ludźmi odpowiedzialnymi, z przedstawicielami rządu. „I *Goniec wielkopolski* także radził liczyć tylko na „czynniki państwowo-twórcze". Czyż nie racja, że są „niemal jednomyślni"?

I. Moszczeńska.

W jednym z ostatnich numerów (181) *Kurjera lubelskiego* znajdujemy szereg powtórzonych artykułów o Macierzy Szkolnej, Demokracji Narodowej i Związkach zawodowych, z których kilka jest pióra miejscowych współpracowników, reszta — przedruki z pism warszawskich (*Prawda, Przegląd por.*) lub tłomaczenia z rosyjskich, pomieszczone zresztą swego czasu we wszystkich pismach polskich.

Połączenie i przedruk tych artykułów zrobił *Kurjer* wskutek insynuacyjnego artykułu *Ziemi Lubelskiej*, którego autor zarzuca *Kurjerowi* i całemu obozowi postępowemu w Królestwie Polskiem denuncjatorstwo. Według *Z. L.* postępowcy przez *Kurjer lubelski* wywołali swymi denuncjacyjnymi artykułami zawieszenie Macierzy Szkolnej i Związków zawodowych! Artykuł *Ziem. Lub.* jest nieudolnym zlepkiem powykrawanych, powycinanych, wreszcie poprzekręcanych zdań i okresów z artykułów *Kurjera* i dlatego *Kurjer lub.* powtórzył wszystkie te artykuły, oddając je pod sąd czytającego ogółu i wzywając „ludzi kulturalnych i dobrej woli ze wszystkich obozów i partji, prawdziwie kochających ojczyznę, aby ten nieszczęsny pożar przygasić mu pomogli, aby ukrócili tego ducha wyuzdania, nurzającego się w błocie obmowisk i jawnym oszczerstwie".

Nie pierwszy to raz inteligiencja nar.-demokratyczna w Lublinie popisuje się ze swoją kulturą. Pamiętamy jeszcze sławną „sprawę etyczną" pomiędzy d-r B. Malewskim (narodowcem) i d-r M. Biernackim (postępowcem), sprawę, która nabrała rozgłosu i głębszego znaczenia, rzucając świeże światło na etykę szanownych kontrahentów naszych. I dziś mamy do zanotowania nowy smutny objaw ciasnoty zapatrywań, płytkości sądów, niewybrednej walki partyjnej i chwytania się wszelkich środków dla dopięcia własnych utylitarnych celów.

Z połączonych w jednym numerze artykułów *Kurjera lub.*, drukowanych w różnych czasach (numer ten zachowujemy w swej redakcji, jako znamienny dokument) niema nic, ale to absolutnie nic, coby mogło wywołać obelżywy zarzut denuncjacji. Pomysł taki mógł się zrodzić tylko w pomieszanej głowie autora artykułu *Z. L.*

Ale niestety artykuł wydrukowany przez dziennik, mianujący się organem stronnictwa N. D. i występujący z ciężkimi aczkolwiek zupełnie nieuzasadnionymi oskarżeniami, traci już charakter czynu prywatnego, nabiera znaczenia ogólnego, spada na odpowiedzialność całego stronnictwa. Ze potrafi ono posiłkować się w walce z przeciwnikami swymi środkami nierycerskimi — mieliśmy dowody niejednokrotne. Dziś przekonywamy się, że posuwa się ono w swej zaciekłości do nieuzasadnionych, nieopartych ani na rzeczowym dowodzie, ani nawet na przypuszczalnych poszlakach, ciężkich oskarżeń wylęgłych w mózgownicy przegorączkowanego pismaka.

Niesłuszność, bezpodstawność zarzutów obalił już *Kurjer lub.*, przytaczając wszystkie pomówione o denuncjację artykuły, uczynił to z godnością i spokojem i uczynił dosyć, ażeby i siebie usprawiedliwić i działalność pisarzów i kierowników *Ziemi Lubelskiej* właściwie napiętnować.

Ale czy to zapobiegnie nowym napaściom— bardzo wątpimy. Znany już rozłam w Nar. Dem. wywołał dodatnie rezultaty: partja ta zaczyna trzebić chwasty w swym sadzie. Dotychczas jeszcze pleni tylko kąkole polityczne, ale miejmy nadzieję, że odrodzony świeżo odłam stronnictwa wypleni również ten rodzaj etycznego brudu—zarazy, która trawi nie całe społeczeństwo bynajmniej, lecz obóz, w którym grasuje.

B. S. F.

George Cleinow: **Die Zukunft Polens.**

Ciekawa praca ukazała się w języku niemieckim. Cleinow skrzętnie i sumiennie zbierał przez kilka lat materjały w sprawie Polski i jej przyszłości, oświadcza iż starał się być bezstronnym, badał archiwa ministerjalne — nawet sekretne, okólniki, czerpał informacje u Synodu, w kancelarjach jenerał-gubernatorów, kuratorów, szperał w bibliotekach publicznych, konferował z senatorami, adwokatami (Spasowicz), publicystami, profesorami (Pogodin), czytał literaturę Chmielowskiego, listy polskie Karejewa, nawet socjalistów zaczepiał, brał udział w konferencjach i kongresach polsko - rosyjskich. (?) Również i prywatne archiwa Litwy, Polski i Wołynia (?) stały mu otworem. Tylko z prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego nie mógł obficiej korzystać, bo, jak twierdzi, dane tam są sprzeczne i często wahają się w granicach 25%.

Z powyższego obok dobrej woli autora widać, jako u cudzoziemca też pewną niekompetencyę w wartościowaniu źródeł.

Dotąd wyszedł z druku pierwszy tom pracy p. t. „Wirtschaft".

Echa Prawdy.

Poprawny krytyk (czytaj: sprawozdawca), poprawny (tylko!) esteta i mniej poprawny nowelista wziął się do poprawy społeczeństwa. Napisał upstrzony cudzysłowiami artykuł, zatytułował go: „Podnieśli mężowie", podpisał: *Władysław Jabłonowski* — i ogłosił w *Głosie Warszawskim*, który pozostaje w takim stosunku do dawnego — z przed laty, laty... — *Głosu*, jak głos żaby do wielkiego wołania duszy.

Organ grupy „dmących się" niedobitków tak niedawno (a jeszcze i na przyszłość najbliższą, lecz niedługą) „panującego" stronnictwa, dążącego po papierowe wawrzyny poselskie drogą poduszczania najniższych instynktów tłumu, — z radością pochwycił elaborat swego wyznawcy i wydrukował na miejscu naczelnem.

Artykuł naczelny! Przeczytajcie! Wczujcie się w buchającą z niego zawiść i nienawiść... Zrozumiejcie tę zapienioną trwogę karła na widok olbrzyma, którego ów objąć wąskim polem widzenia nie zdoła... I przypomnijcie poprawnemu (ach, niepoprawnemu) estecie dawny *Głos*—ów z przed odarcia go z błyszczącej idei przez Zygmunta Wasilewskiego i towarzyszów, którzy wprost stamtąd poszli w niezawodną i bezpieczną służbę do przeciwnego, bezkolorowego obozu... Przypomnijcie mu marzenia śmiałe, chcenia zawrotne, loty wspaniałe Człowieka, który im przywodził, a którego tak marnie, bo przeważnie bez świadomości zdrady, zdradzili... Przypomnijcie to i jemu, i sobie, poczem powiecie: artykuł nie *naczelny*, lecz *bezczelny*...

Tak jest — Człowiek to wielka rzecz — powiedział Gorkij.

— Nie — odpowiada p. Jabłonowski całym swym czelnym (przystawki *na* i *bez* opuszczam, by nie wywoływać dyskusyi) artykułem, — człowiek to mała rzecz...

Biedny, biedny człowieku!

Nie odmawiajmy zresztą biednemu noweliście znajomości siebie samego, lecz wytłomaczmy mu przy spotkaniu, poufnie, że brzydki to widok, gdy pan Władysław Jabłonowski para się myślowo, idejowo i taktycznie z rozmaitemi *Wiarami*, *Rolami*... Wyjaśnijmy mu, że acz jest prawdziwym demokratą, tak daleko jednak — raczej: tak nisko — nie wypada mu się posuwać...

Zaprzysiężmy wreszcie — my, którzy wołamy, aby wielkie, niepokonane chcenie zatrzęsło wszystką Ziemią naszą, — że nie zejdziemy z pola na zawołanie niedobitków, czy to pragnących nadal żerować na niem bezkarnie, czy też plączących się bezradnie w sieci zbóż na pniu porosłych pleśnią. Zapowiedzmy, że iść będziemy wytrwale naprzód i tego pracować nad powiększeniem i polepszeniem dusz w celach nam tak wiadomych, jak się one dla żerujących na pobitewnych polach, łzami omglonych, niedościgłe. Nic nas z tej drogi nie zawróci, najmniej zaś udająca ironję nieprzyzwoitość pana Władysława Jabłonowskiego i jego zmiennych kolegów.

...Opowiem wam bajkę. Raz idącemu na sprawę rumakowi rycerskiemu zmieniano podkowy stalowe. Z zaropiałego stawu, który gnił w pobliżu, wypełzła żaba i nuż podstawiać swą karlą nogę...

Adsum.

* * *

Kurjer Zagłębia, a za nim *Gazeta Kielecka* drukują takie wspaniałości:

„Zanikający już prawie odłam prasy postępowej smutne po sobie zostawia wspomnienia.

Niemal każdy z tych świstków, za wraże(!) powstałych pieniądze i usiłujących utrzymać się na powierzchni za cenę nawet... podłości chętnie chwytał się wszelkich środków przymilenia się z jednej strony rozszalałemu socjalizmowi, a z drugiej zaskorupiałej w ciemnocie masie żydowskiej".

Istotnie, ze smutkiem stwierdzić należy, że z dziewięciu pism prowincjonalnych postępowych, przetrzebionych przez władze i ubytek ludzi, zaledwie trzy pisma dziś tylko egzystują.

W myśl zatym zacnej bajki o konającym lwie... *Kurjer Zagłębia* i *Gazeta Kielecka* rozpoczęły wierzgania, szykując się widocznie do ostatecznego kopnięcia.

Zwolna, zwolna! Prasa jeszcze nie kona!

Żądełko.

*
* *

Korespondent *Gazety Kujawskiej* donosi o rozpowszechnionej znowu na Kujawach sprzedaży w aptekach anodyny. Któryś z interpelowanych aptekarzy tłumaczył się, iż jest do tego rozpowszechniania wśród ludu trucizny i alkoholu wprost zmuszony: daje mu 2000 — 4000 rocznego dochodu, którego artykułami zastąpić nie może, a — żyć trzeba.

To pono ten sam pan aptekarz, który w swym obywatelskim pióropuszu, gromi kradzieże, oszustwa i szelmostwa, który piętnuje wyzysk w handlu, woła o ratunek przeciwko demoralizacji ludu, jest czynnym członkiem kół oświatowych, kolporterem wiedzy, krzewicielem nauki.

To pewno ten sam. Znamy go i winszujemy z całego serca jego obywatelskiej działalności.

Żądełko.

Memorabilja polityczne.

Mimo półurzędowego charakteru londyńskiego kongresu pokoju, stanowiącego niejako oficjalną manifestacją pokojowych dążeń króla i jego ministrów, aż nazbyt wiele istnieje dowodów, że myśl o możliwej wojnie jest i nadal kierowniczym motywem zabiegów politycznych. W tejże samej, pokojowo usposobionej, Anglji mówią już głośno o potrzebie zaciągnięcia stumiljonowej, a tłumacząc to na ruble—miljardowej pożyczki na budowę nowych okrętów. Silna flota jest głównym oparciem potęgi angielskiej a zarazem głównym warunkiem jej bezpieczeństwa i niezawisłości. Ponieważ jednak sama siła morska nie wystarcza dla podtrzymania tej roli kierowniczej w polityce zewnętrznej, jaką zdobyły dla Anglji niezmordowane a zręczne zabiegi króla Edwarda, konieczność ścisłego sprzymierzenia się z mocarstwami lądowymi musi ją uzupełniać. To też—jak się okazuje—entente cordiale z Francją, dotąd nie ujęta w formalny traktat, ma jednak tego rodzaju charakter, że każdej chwili może się zamienić na „porozumienie wojskowe", jak się eufonicznie wyraża angielska i francuska półurzędowa prasa. Niewątpliwie najbliższy zjazd w Marjenbadzie, czyli równoczesna wizyta panów Clemenceau i Izwolskiego u króla Edwarda, tak pracowicie spędzającego okres letnich wywczasów, przyczyni się do dalszego zacieśnienia przyjaznych stosunków między Wielką Brytanją a dwuprzymierzem.

Ani wizyta kronberska, ani zapowiadana na jesień wizyta angielskiej pary królewskiej w Berlinie nie zdołają zamaskować ogólnego położenia politycznego, w którem aż nazbyt wyraźnie ostrze tych sojuszów zwraca się przeciw Niemcom.

Polityka niemiecka nietylko z tej strony ponosi porażki. Ruch młodoturecki, który tak niespodziewanie poplątał, a raczej przeciął misterną siatkę intryg dyplomatycznych, jakiemi osnuto półwysep Bałkański, choć zapewne wszystkim wpływom zagranicznym w równej mierze tamę stawia, w pierwszym rzędzie odbije się na planach „najlepszego przyjaciela" sułtańskiego od lat wielu zmierzającego do zdobycia wyjątkowo uprzywilejowanego stanowiska w monarchji tureckiej. Komitet młodoturecki domaga się — ni mniej ni więcej — tylko zerwania kontraktu o kolej bagdadzką, która tak olbrzymią rolę odegrać miała w ambitnych planach cesarza Wilhelma. Ponieważ zaś mocarstwa, niechętnym okiem spoglądające do tej pory na tę interesowną przyjaźń, postanowiły jednogłośnie wstrzymać się narazie z wszelką interwencją w sprawach tureckich, sułtan zaś ulega komitetowi jako jedynej sile, którą może wpływom zagranicznym przeciwstawiać—jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że całe to mozolnie przygotowane przedsięwzięcie skończy się zupełnym fiaskiem.

Nie lepiej powodzi się i w Marokku. Od czasu pamiętnej wizyty wysłańców Mulej Hafida w Berlinie, odwróciła się karta. Nie udało się zmusić Turcji do wycofania wojsk z Marokka, obecnie zaś protegowany cesarza Wilhelma został pobity.

Przez chwilę zanosiło się na to, że wzamian za niepowodzenia doznane na różnych punktach kuli ziemskiej, odniosą Niemcy tryumf w sferach powietrznych. Wzlot balonu Zeppelina stał się uroczystością narodową — manifestacyjnie święconym symbolem przewagi niemieckiej nad europejskim lądem.

Wspaniały aeroplan krążący nad granicą francuską, niby groźne widmo nowych pogromów — przejął lękiem i sąsiadów z za Renu i sąsiadów z za morza. Zastosowanie balonów do celów wojennych na szerszą skalę położyłoby istotnie koniec potędze angielskiej, czyniąc z jej floty zupełnie niedostateczną zaporę dla obcego najazdu. Katastrofa balonu Zepellina, niemniejsze względnie niepowodzenia innych prób podobnych, okazuje, że technika żeglugi powietrznej, choć znakomite poczyniła postępy, daleką jest do takiego udoskonalenia, aby można dziś marzyć o przeniesieniu siły zbrojnej i pola przyszłych bitew z ziemi i morza — ponad ziemię i morze. Jak dotąd, tak zapewne i dość długo jeszcze, rola wojskowa balonów ograniczy się na funkcjach wywiadowczych, a choć i dla tego celu rządy chętne będą do równie hojnych ofiar jak rząd niemiecki dla przedsięwzięcia Zapellina, główną ich troską nadal pozostaną armaty i pancerniki.

Rz.

KRONIKA.

— Wobec przepełnienia więzień i szerzenia się w nich tyfusu więziennego, główny zarząd będzie musiał w ciągu bieżącego roku dobudować 25 — 30,000 cel w gmachach więziennych.

— Główny zarząd więzień złożył ministeryum sprawiedliwości projekt przepisów, dotyczących głodówek więziennych. Demonstracye głodowe mają być karane przedłużeniem terminu uwięzienia.

— Związek narodu rosyjskiego postanowił poprzeć generał-gubernatora odeskiego, podnając na ręce ministra oświaty prośbę, by dopomagał władzy administracyjnej w usuwaniu z uniwersytetów profesorów szkodliwych i niebezpiecznych dla państwa.

— Minister komunikacyi kazał zdjąć ochronę nadzwyczajną na południowo zachodnich kolejach.

— Seminarzyści prawosławni otrzymali wstęp na wszystkie wydziały uniwersytetu warszawskiego po ukończeniu 6-ciu klas bez egzaminów dodatkowych, po ukończeniu 4-ch z egzaminem z matematyki, fizyki i jednego z języków nowożytnych.

— General gubernator kijowski zabronił przedstawień teatralnych w żargonie [illegible] południowo zachodniego kraju.

— W stepach kirgiskich panuje dżuma.

— W Wilnie d. 21 b. m. otwartą zostanie [illegible] pedagogiczna i hygieniczno-wychowawcza.

— Towarzystwo akcyjne zakładów Scheiblerowskich w Łodzi traktuje z ks. Golicynem o nabycie dóbr Rożyszcze na Wołyniu, dokąd zamierza przenieść swe fabryki.

— Z racji 60-ej rocznicy panowania cesarza Franciszka Józefa ogłoszono w Austrji amnestję dla wszystkich skazanych za obrazę majestatu, dla wszystkich odsiadujących karę w więzieniu nie dłużej niż 2 tygodnie, ułaskawiono blisko 800 osób, karanych za przestępstwa, popełnione z biedy lub lekkomyślności, wreszcie wielu przywrócono prawa wyborcze.

— W Pradze czeskiej odbył się przy bardzo licznem uczestnictwie kongres nauczycieli słowiańskich. Tematem obrad było głównie wychowanie narodowe. Powołano do życia Związek nauczycieli słowiańskich Przedlitawji. Następny zjazd odbędzie się za dwa lata w Krakowie.

— W Szczecinie ustało bezrobocie w fabrykach Wulkan. Skutkiem tego pracodawcy przerwali lokaut.

— Eskadra francuska wyjedzie na wody liguryjskie na powitanie króla włoskiego, powracającego z ćwiczeń morskich.

— Rząd angielski rozważa kwestję zaciągnięcia pożyczki 100 mil. f. st. na powiększenie floty.

— Król szwedzki jedzie do Francji i Anglji.

— W Karlsbadzie odbędzie się zjazd króla Edwarda z Jerzym Clemenceau i ministrem Izwolskim.

— Komitet młodoturecki zażądał unieważnienia umowy z Niemcami w sprawie budowy kolei bagdadzkiej.

— W Stanach Zjednoczonych w Springfield wybuchły krwawe zatargi między białymi a murzynami. Biali lynchują murzynów, ci-ostatni uciekają w lasy, zbroją się by wyruszyć na Springfield. Ogłoszono w mieście stan wojenny lecz wojsko brata się z tłumem i występuje przeciwko murzynom.

— Odbywa się obecnie w Dreznie kongres esperantystów, przy udziale 1400 zwolenników międzynarodowego języka. Istnieje obecnie przeszło 900 stowarzyszeń esperanckich i 38 pism perjodycznych „Revue" wydawane w Paryżu; w ciągu 6 miesięcy zdobyło 2,000 prenumeratorów.

— Zmarł w Berlinie głośny profesor filozofii Fryderyk Paulsen.

— W Marokku wojska Mulej Hafida zostały pobite.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Leo Belmond: „Socjalizm i sprawiedliwość", studjum etyko-ekonomiczne. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1899, str. 179.

— „Prądy w nauczaniu języka ojczystego". Warszawa, 1908. Nakładem Polskiego Związku nauczycielskiego.

OFIARY.

Mieczysław Frydman z Warszawy: na Kulturę Polską do uznania Aleksandra Świętochowskiego rb. 1 kop. 50.

Bracia Jabłkowscy z Warszawy: na Kulturę Polską do uznania Aleksandra Świętochowskiego rb. 10.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.